ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK V. — NR 38/222

LONDYN, NIEDZIELA 23 WRZEŚNIA 1951 R.

MARIA CZAPSKA

ŁOWCA DUSZ

Do dziewięćdziesięciu i kilku książek polskich, które się ukazały w ubiegłym roku drukiem na emigracji, nie była prawdopodobnie wliczona książka ks .prof. Kamila Kantaka o jezuicie, ojcu Rylle,*) jako pisana po francusku i wydana staraniem ojców jezuitów, przez Uniwersytet Św. Józefa w Bejrucie. Ta praca Polaka o Polaku zachowa jednak w dziale poloniców z 1950 r. swoje znaczenie, wówczas gdy ogromna większość polskiej twórczości emigracyjnej popadnie w niepamięć.

Ksiądz Kantak, rodem z poznańskiego — autor licznych dzieł naukowych — był w ciągu ostatnich lat przedwojennych profesorem historii Kościoła i języków greckiego i hebrajskiego w Seminarium Duchownym w Pińsku. Aresztowany 1939 r. przeszedł przez więzienia i obozy sowieckie, a następnie odbył z wojskiem polskim krzyżowy pochód od obozu w Griazowcu, poprzez stepy nadwołżańskie i Azję Środkową, Persję i Palestynę aż do Libanu, do tegoż Uniwersytetu Św .Józefa, którego inicjatorem i założycielem sto lat temu był ojciec Maksymilian Ryłło, T.J.

Własne losy autora i nowa aktualność Bliskiego Wschodu w dziejach polskich walk i wygnań zbliżyły go do niestrudzonego misjonarza tych krajów. Pobyt zaś w Libanie, który się stał dla wielu Polaków gościnną przystanią po sybirskim wygnaniu, pozwolił księdzu Kantakowi opracować biografię rodaka.

Maksymilian Ryłło, z drobnej szlachty polsko-białoruskiej, wcześnie osierociały i wychowany przez ojców jezuitów w kolegium Połockim, odbył rok studiów na Uniwersytecie Wileńskim jednocześnie z Mickiewiczem. Nie zdaje się, jakoby Ryłło miał się kiedykolwiek spotkać z poetą, lub brać udział w ówczesnych związkach młodzieży wileńskiej. Zastanawiające jest ponadto, że Ryłło, przyszły misjonarz i zakonnik, nie zapisał się na wydział teologiczny, ale na medycynę. Ks. Kantak tłumaczy sobie ten wybór jego gorącą miłością bliźniego. Znamienna była żarliwość, z jaką późniejszy kaznodzieja komentował przypowieść o dobrym Samarytaninie; leczenie zaś ciała ma wiele wspólnego z leczeniem duszy. Z nędzą, ciemnotą i poniewieraniem człowieka zetknął się niezawodnie mały sierota od lat najmłodszych. Szukał więc, być może, już w Wilnie sposobu zaradzenia ludzkiej niedoli. Ale w roku następnym, licząc zaledwie 20 lat, opuszcza już młody Maksymilian kraj rodzinny i udaje się wraz z zakonem jezuitów, wydalonym z granic cesarstwa ukazem z 13. 3 1820 r., na wygnanie.

Dlaczego to uczynił, nie będąc nawet jeszcze w nowicjacie? Wygnanie i wydziedziczenie ojców, którym tyle zawdzięczał wzbudziło w nim niezawodnie uczucie solidarności z pokrzywdzonymi i skłoniło do tego rozstrzygającego na całe życie kroku.

Oo. jezuici wyparci z Rosji osiedli we Lwowie, ale Ryłło z kilku towarzyszami wyruszył niezwłocznie do Rzymu, gdzie w lipcu tegoż roku wstąpił do nowicjatu.

Po wyświęceniu dopiero w 1833 r. o. Ryłło zasłynął od razu jako znakomity kaznodzieja. Wyznaczony na predykatora ulicznego, kazał, starym rzymskim zwyczajem, na placach publicznych, skupiając wkoło siebie tłumy słuchaczy. Nawet zatwardziali grzesznicy wyznawali publicznie swoje winy, skruszeni jego słowami. Jemu zostały też zlecone rekolekcje dla artystów: malarzy, rzeźbiarzy, architektów, których zuchwałe zachowanie się w kościołach zniechęcało najznakomitszych rzymskich kaznodziei.

Wspaniałej postawy, malowniczo udrapowany w jezuicki płaszcz: „Wygłoszę wam prelekcję o Pięknie..." — zaczął o. Ryłło bez wstępów, wszedłszy na ambonę — i od razu zdobył posłuch krnąbrnego audytorium.

Sławne również były jego misje dla przestępców rzymskich, w które włożył całą żarliwość swego serca. Po wygłoszeniu cyklu nauk, za zgodą władz więziennych i za pozwoleniem papieża o. Ryłło wyprowadził około 1300 więźniów na ulice miasta i, omal bez eskorty, idąc na czele i odmawiając głośno modlitwy, odbył z nimi pielgrzymkę do Scala Santa i odprowadził następnie do więzienia. Ani jeden z przestępców nie próbował nawet zbiec po drodze. Cały Rzym pośpieszył oglądać to widowisko, — podaje jedna z relacji tego zdarzenia. Sam papież, Grzegorz XVI, wraz z kardynałami chciał również to obejrzeć.

Ten wyczyn młodego jezuity, który świadczył nie tylko o jego miłosierdziu i darze wymowy ale też o rzadkiej sile sugestywnej wywarł na papieżu tak silne wrażenie, że temu wypadkowi przypisuje ks. Kantak wyjątkową sympatię i zaufanie, którym Grzegorz XVI wyróżniał Ryłłę w dalszych latach. O. Rylle, przypuszczalnie, zawdzięczamy też zmianę usposobienia papieża w stosunku do Polaków, oraz podważenie błędnych informacji dostarczanych Watykanowi przez dyplomatów państw zaborczych.

Temperament i apostolska żarliwość o. Maksymiliana porywała go ku misyjnym wyprawom, bynajmniej go bowiem nie odstraszały przygody i niebezpieczeństwa. Nie darmo był Polakiem z Kresów Wschodnich i potomkiem dawnych wojowników.

„Bardzo jest chciwy chwały Bożej i zbawienia dusz..." pisał o nim jego zwierzchnik.

Od 1831 roku istniała misja dla chrześcijan w Syrii, zlecona ojcom jezuitom. W 1836 o. Ryłło udał się tam po raz pierwszy, z tytułem misjonarza apostolskiego. Wysyłając go do Libanu, należało przezwyciężyć jeszcze jeden szkopuł. Rząd syryjski, zależny od Egiptu, zezwalał na założenie Misji Katolickiej w Libanie pod jednym warunkiem, że żaden Polak nie weźmie w niej udziału. Naszego jezuitę zaopatrzono więc w paszport rzymski na nazwisko: Piotra Rolly. Wschodni strój i znajomość języka arabskiego miały dopełnić przeobrażenia.

Któż by w tym wspaniałym mężczyźnie o patriarchalnej brodzie, w turbanie, burnusie stalowego koloru opasanym bagdadzkim szalem odgadł ojca jezuitę i w dodatku Polaka!

Ojciec Ryłło uległ od razu, jak tylu innych, jak kilkanaście lat wcześniej Wacław Rzewuski, szczególnemu czarowi Wschodu; umiał sobie też ująć wszystkich, wielkich i małych, dobrocią, prostotą i jakąś wrodzoną dwornością. Zachwyciła go wieczna wiosna błogosławionego wybrzeża libańskiego, podziwiał bohaterstwo Maronitów, którzy w ciągu wieków prześladowań nie odstąpili Rzymskiego Kościoła, podobnie jak gminy greckich i ormiańskich katolików, żywo zainteresowali go muzułmanie i różne ich sekty, jak druzowie i alauici, których religia była mieszaną Koranu, manicheizmu, wiary w wędrówkę dusz i pogańskich przesądów. Nie bez racji przestrzegał następnie ojciec Roothaan, generał jezuitów, polskiego entuzjastę Wschodu, pisząc: „Bóg jest w Syrii, ale Bóg jest też gdzieindziej. Bóg jest wszędzie."

Zwiedziwszy konno Ziemię świętą udał się o. Ryłło na czele całej karawany na niebezpieczną wyprawę do Mezopotamii, przez Damaszek, Alep, Orfa aż do Mossulu, rezydencji Patriarchy. Owiedził po drodze paszów i agów, stwierdzając wszędzie opłakany stan stosunków kościelnych, chciwość kleru i jego pychę, oraz niezliczone intrygi w pogoni za władzą.

„Delegat apostolski, pisał ojciec do Rzymu, powinienby tu być nietylko świętym i przezornym, ale ponadto chytrzejszym od samego Szatana, by móc przeniknąć złość tych ludzi i zapobiec grożącej ruinie."

Kilku biskupów chaldejskich upraszało Stolicę Apostolską o naznaczenie Delegatem nie kogo innego jak właśnie ojca Ryłłę, który zyskał sobie miłość i poszanowanie wszystkich, z którymi miał do czynienia, tak chrześcijan i muzułmanów.

Jeden z emirów, którym Ryłło wyświadczył pewną usługę, ofiarował mu piękną niewolnicę, rasową klacz i sztukę wyborowego jedwabiu. Ojciec wdzięcznie przyjął te dary, niewolnicę oddał pod opiekę zakonnic w Damaszku, aby uczyniły zeń dobrą chrześcijankę, klacz zachował, bo potrzebował koni pod siodło, a z jedwabiu kazał skroić szaty na podarunki...

Już za pierwszą bytnością w Azji powziął o. Ryłło projekt stworzenia na Bliskim Wschodzie uczelni pod nazwą Collegium Asiaticum, która by promieniowała na całą Azję, stała się centrum kultury i cywilizacji chrześcijańskiej, kształciła duchownych i świeckich, misjonarzy i nauczycieli. Uczelnia byłaby przeznaczona dla Syrii, Palestyny, Chaldei, Armenii, Arabii i Egiptu; nauka języków arabskiego, tureckiego i włoskiego byłaby obowiązująca dla wszystkich, ponadto byłyby wykładane języki grecki, ormiański, syryjski, koptyjski, chaldejski i perski. Poza geografią, historią, matematyką, fizyką — Collegium obejmowałoby kompletne studium filozoficzne, oraz katedry teologii dogmatycznej i moralnej. Biblioteka, drukarnia i warsztaty rzemiosł były również przewidziane. Zaklinając Ojca Generała o zgodę na ten projekt, porównywał o. Ryłło zamierzone przez niego Collegium Asiaticum do Collegium Germanicum, dzieła św. Ignacego, założonego w Rzymie w XVI w.

Za drugą bytnością Ojca w Libii projekt doszedł do skutku. Jesienią 1840 r. zabrano się do budowy gmachu w Bejrucie, zaś w maju 1841-go Collegium na 100 uczni zostało otwarte.

W międzyczasie wybuchła wojna. Syria powstała przeciwko nadużyciom władzy egipskiego Ibrahima Paszy i przy pomocy sił angielskich przeszła wraz z Palestyną pod panowanie Sułtana. Ryłło stanął całym sercem po stronie pokrzywdzonych, czyli powstańców i wykorzystując sytuację zyskał poparcie nowego rządu dla swego Collegium. Zapalczywość jednak Ojca sprawiła, że jego ingerencja w zbrojne walki i polityczne intrygi poszła zbyt daleko; naraził sobie też francuskiego gubernatora; Francja bowiem poparła żądania Egiptu i grę przegrała.

O. Ryłło został odwołany; dzieło, któremu dał życie, ciężarne tylu nadziejami na przyszłość, musiał przekazać w obce ręce. Był zakonnikiem — ślubował posłuszeństwo.

* * *

Pierwszy pobyt o. Ryłły w Syrii został upamiętniony jego spotkaniem ze Słowackim. Nikim bowiem innym nie mógł być ów „ksiądz rodak" w Jerozolimie, który po nocy spędzonej przez poetę u grobu Chrystusa, wyszedł ze Mszą „na intencję mojej kuzynki", jak pisze Słowacki, „a ja, klęcząc na tym miejscu, gdzie Anioł powiedział Magdalenie: Nie ma Go tu, zmartwychwstał! — słuchałem całej Mszy z głębokim uczuciem." Czy nie Ryłło, doskonały jeździec, towarzyszył poecie w dalszej konnej wędrówce po Ziemi Świętej, aż do Betlejem i Morza Martwego? Czy nie on namówił go na poznanie Libanu i chrześcijańskiego ludu Maronitów, na spędzenie kilku tygodni w ormiańskim klasztorze Bet-chesz-Ban, co się wykłada Spoczynek Umarłych? Do tego klasztoru dojechał znów umyślnie ten rodak, ksiądz jezuita, na Wielkanoc, ofiarowując się Słowackiemu na spowiednika. Poeta przez ostrożność nie wymienia w listach nazwiska „księdza-rodaka" bo nazwisko i narodowość Ryłły były zatajone, ale w obu fragmentach: „Peregrynacja do Z. Świętej" i „Święcone u ks. Radziwiłła, Sierotki" jeden z księży-zakonników i spowiednik księcia nazywa się Ryłło. Innego też polskiego księdza i jezuity nie było owego roku 1837 na Wschodzie.

W tymże ormiańskim klasztorze Bet-chesz-Ban powstał „Anhelli"; właśnie tam, wśród „renunkułów ognistych, niebieskich i białych", tych „lilii polnych", których krasę Chrystus porównał do odzieży Salomona „w całej chwale jego", pośród narcyzów, z rozległym widokiem na morze powstał „poemat sybirski" o śniegiem pokrytych stepach i dziesiątkach wygnanych na te stepy, które pop na tatarskim koniu, z koszami chleba u siodła uczy swojej wiary ruskiej i nowego katechizmu...

Wdzięczni jesteśmy ks. Kantakowi, że wspomniał to spotkanie i „Anhellego."

„A kiedy w Warszawie, powiada Norwid, nocą budzeni bywaliśmy przez kolegów, aby choć obecnością naszą zasłać pożegnanie wysyłanym na Sybir. Słowacki wtedy, z drugiego końca Europy, „Anhellego" Ojczyźnie przysłał... miał tę współczesność, bez której poeta jest tylko kaligrafem lub notariuszem..."

Collegium Asiaticum, pozbawione swego założyciela, zostało przeniesione w 1842 do Ghaziru, jako zwyczajna szkoła francuska pod wezwaniem św. Józefa, a dopiero w 1875 wróciło do Bejrutu jako Uniwersytet św. Józefa i rozwinęło się po linii, którą mu o. Ryłło przeznaczał.

Sto lat z górą minęło od tamtej wiosny, od pobytu o. Ryłły i Słowackiego w górach Libanu, sto lat — w dziejach ludzkości — jedno mgnienie.

Świat arabski szarpią nadal intrygi i krwawi fanatyzm; Polska, podobnie jak wtedy, cierpi przemoc rosyjską, w Libanie zaś, kraju wiecznej wiosny, polscy wygnańcy, jeńcy Sybiru upamiętnili stulecie zgonu obu swych rodaków, poety i misjonarza, marmurowymi tablicami.

Tablica pamiątkowa o. Ryłły wmurowana jest w ścianę hallu Uniwersytetu św. Józefa w Bejrucie.

... VIRI CLARISSIMI — czytamy — VIRTUTES — LABORES — MERITA — COMMEMORANTES — LONGE A PATRIA — CONCIVES POLONI AD LIBANUM DEGENTES — MARMOREAM HANC TABULAM — POSUERE — A.D. 1948.

* * *

Po opuszczeniu Syrii, „Syrii, która mi była tak droga" — jak pisał o. Ryłło, pozostawało mu już tylko siedem lat życia, spędził je na misjach na Malcie i na Sycylii oraz jako rektor Rzymskiego Kolegium Propagandy Wiary. Porywający kaznodzieja, niestrudzony spowiednik, zawsze pomysłowy entuzjasta okazał się gorszym administratorem; nie cofał się przed żadnym trudem, żadnym wyrzeczeniem i umartwieniem, ale codzienne urzędowanie ciążyło mu gorzej wszystkiego. Szereg doskonałych ale kosztownych inowacji wpędziło Kollegium w długi, a zaufanie, którym Ryłło darzył każdego, oraz koleżeński stosunek do podwładnych rozluźnił dyscyplinę uczelni.

W 1845 r. powstał projekt misji afrykańskiej, a w roku następnym Ojciec św. ustanowił nowy wikariat apostolski, który miał objąć Saharę, Sudan i Abisynię. O. Ryłło zgodził się z entuzjazmem na zaofiarowaną mu współpracę i ze zwykłą sobie energią zajął się przygotowaniami do wyprawy. Wiosną 1847 został mianowany zastępcą wikariusza i stanął na czele ekspedycji. Misjonarze mieli się udać w górę Nilu aż do Chartumu i tam założyć tymczasową siedzibę wikariatu. Ale już w Kairze o. Ryłło zapadł na ostrą dysenterię, była to przypuszczalnie infekcja amebowa, nierozpoznana jeszcze wówczas, z którą nie umiano walczyć. Mimo choroby Ojca ruszono jednak w drogę statkiem do Assuan, poprzez nilowe katarakty, potem na wielbłądach, aż do Chartumu. Ojca Prowikariusza przywiązano do grzbietu dromadera, bo nie mógł się trzymać na siodle o własnych siłach. Z wspaniałego mężczyzny w sile wieku pozostał szkielet obciągnięty zwiędłą skórą. W Chartumie nastąpiła poprawa trwająca kilka miesięcy. Ojciec wykorzystał ją dla stworzenia ram przyszłej działalności; śmierć nastąpiła 17. VI. 1848 r.

Tu również nie było mu dane doczekać wzrostu zasianych ziarn, ani nawet doprowadzić zamierzenia do końca. Rzucił jedynie fundamenty, ostatnim zaś życzeniem konającego było, by jezuici nie opuszczali Misji Środkowo-Afrykańskiej; ale i temu życzeniu nie stało się zadość; w 1852 roku zostali zamienieni misjonarzami z Verony.

W 1900 roku zwłoki ojca Ryłły zostały ekshumowane i przewiezione z Chartumu do Kairu, gdzie spoczywają dotychczas na cmentarzu jezuickim.

Niezwykła postać zakonnika-misjonarza, plastycznie oddana w niniejszej biografii, jest tak swojska i jednolita, że aż nam przypomina bohaterów sienkiewiczowskich. Trzy cnoty ewangeliczne: wiara, nadzieja i miłość były motorem tego żywota; odwaga zaś, pokora, wspaniałomyślność — to cechy które równie dobrze mogłyby być ozdobą każdego chrześcijańskiego rycerza. Wyjątkowo zdolny i wykształcony o. Ryłło nie czuł się dobrze na katedrze, cela zakonna i żywot kontemplacyjny nie byłyby mu również odpowiadały. Umiał kazać trzykrotnie w ciągu jednego dnia, spowiadać po dziesięć godzin z rzędu a następnie, nocą, redagować projekty dotyczące Collegium Asiaticum, albo Misji Afrykańskiej.

Rzadko kiedy spał w łóżku, zwykle ubrany na ławie, albo przy biurku.

„Pracuje dniem i nocą, pisał o o. Rylle ks. Kaysiewicz w 1838 r., a śpi dopiero jak upada ze zmęczenia na stół; powiada, że spowiadanie go „odpoczywa", nigdy nie mówi o potrzebach swego ciała, zawsze żartuje."

W jego darze kaznodziejskim, w zadziwiającej umiejętności zdobywania posłuchu i „kruszenia serc" poza wiarą, tą wiarą, co góry przenosi i daje dar języków, był też niezawodnie artyzm słowa, głosu, gestu, których możemy się jedynie domyślać z obrazowego stylu jego listów, była jakaś moc sugestii, a nawet działanie wrażeniem wzrokowym dzięki malowniczości swej postaci. Chyba też malowniczość Bliskiego Wschodu, obyczaj arabski, szlachetność ich postawy i ceremoniału, modlitwy o wschodzie i zachodzie słońca na pustyni urzekły tak głęboko Ryłłę, to dziecko białoruskiej wioski, długich martwych ziem. Dopiero na wyraźne żądanie Ojca Generała, i już jako kaznodzieja na Malcie, zrzucił misjonarz swój wschodni strój, aby się porównać czarną suknią z klerem miejscowym. Jedynie brodę pozwolono mu zachować w nadziei, że będzie mógł jeszcze wrócić do Syrii.

Biografia o. Ryłły była pisana dla cudzoziemców. Autor musiał więc podmalować tło, kraj i epokę, która wydała misjonarza. Ujął bardzo zwięźle ówczesne pokongresowe położenie Polski i jej wschodnich kresów, znaczenie Uniwersytetu Wileńskiego w początkach panowania Aleksandra I., zasługi kuratora ks. Adama Czartoryskiego, dobór profesorów wileńskiego uniwersytetu, talenty młodzieży. Niejeden cudzoziemiec dowie się z tej książki, że Polska miała wtedy, jak i dziś, nietylko dzielnych żołnierzy co umieją za nią krew przelewać, ale też misjonarzy uczonych i poetów.

Jedyny zarzut, który ośmielamy się postawić ks. prof. Kantakowi, to brak bibliografii. Ci, którzy interesują się dawną epoką, radzi by znać dzieła i archiwa, z których autor korzystał, pisząc tę pracę, a które niestety nie są podane. Język francuski książki bezbłędny, druk staranny, wydanie ozdobne.

Maria Czapska

*) **Abbé Kamil Kantak**; Ancien professeur au Grand Séminaire de Pinsk. Doyen Polonais au Liban, **Le Père Maximilien Ryllo, T.J** Un ami du Proche-Orient, L'homme aux grandes visions, mort à la peine, Beyrouth 1950. Imprimatur: J. Gawlina, Episcopus Exercitus Poloni, Romae 1.V. 1950. Str. 120 i 2 reprodukcje hors texte.

WEZWANIE DO POWROTU

Ogromny ból sprawia rodzicom porzucenie przez dziecko domu rodzicielskiego. Ból ten zwiększa się jeszcze, gdy dziecko mimo nawoływań rodziców nie chce pojednać się z nimi i uparcie trwa w odsunięciu się od nich. Ale też i nie może być dla rodziców większej radości nad powrót tego dziecka do domu rodzicielskiego. Rodzice z radości zapominają o wszystkich cierpieniach, których ono stało się przyczyną i nie czekają aż przyjdzie, lecz jak ojciec ewangeliczny wybiegają naprzeciw.

To samo powtarza się, jakżeż często, w dziejach Kościoła katolickiego. Po wielekroć razy dzieci jego porzucały dom Matki-Kościoła i nie chciały słuchać głosu jej, głosu czulszego, niż głos najczulszej matki ziemskiej — bo Kościół jest Matką o nadprzyrodzonym zrozumieniu swego macierzyństwa. Ale gdy wracają do Kościoła, to przepełnione radością serce Papieża, Ojca chrześcijaństwa, wzywa do radości Niebo i ziemię. „Laetentur coeli et exsultet terra", „Exultate Deo", „Cantate Domino" — tymi słowy zaczynają się bulle oznajmiające światu powrót dzieci do domu Ojca niebieskiego. Niech się radują niebiosa i niech się weseli ziemia! Wyskakujcie z radości i śpiewajcie Bogu!

Nawoływania Papieży do powrotu powtarzają się stale. Dla przykładu: Leon XIII wzywa do powrotu Anglię w liście „Ad Anglos" — (1895 r.) i w encyklice „Charitatis studium" (1898 r.). W tejże encyklice wzywa on również wszystkich chrześcijan poza Kościołem do powrotu. Pius XI stwierdza w swej programowej encyklice „Ubi arcano", że Namiestnik Chrystusa na ziemi, widząc tyle owiec poza Kościołem, nie może nie powtarzać za Chrystusem: „te trzeba mi przyprowadzić".

I oto w szeregu tych stałych nawoływań do powrotu rozległ się z Watykanu w ostatnich dniach głos Piusa XII: Wracajcie do Kościoła, do jedności! Papież zapewnia, iż powracający mogą być przekonani, że będzie on uważał jako jasno świecący klejnot w koronie swego Apostolatu tę chwilę, gdy będzie mógł objąć z miłością tych wszystkich, którzy z powodu tylowiekowej rozłąki są mu tym bardziej drodzy. Wezwanie bowiem skierowane jest przede wszystkim do monofizytów i nestorianów, którzy od piętnastu wieków są poza Kościołem.

To wezwanie do powrotu zawarte jest w encyklice „SEMPITERNUS DEUS" z 8 września 1951 r., napisanej w 1500-lecie Ekumenicznego Soboru w Chalcedonie. Encyklika, do której treści jeszcze powrócimy, tworzy, według komentarza Radia Watykańskiego, doktrynalną całość o pierwszorzędnym znaczeniu wraz z encyklikami „Mystici Corporis" (O Mistycznym Ciele Chrystusa) z 1943 r., „Mediator Dei" (o liturgii) z 1947 r., „Humani generis" (o różnych błędach) z 1950 r. i bullą „Munificentissimus" z r. 1950, ogłaszającą dogmat Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny. Wszystkie te cztery dokumenty i obecna encyklika, jako piąty dokument, są — jak to określił komentator — „pomnikiem doktrynalnym wielkiego znaczenia w historii myśli chrześcijańskiej i wielką chlubą pontyfikatu Piusa XII".

Encyklika nawiązuje także do dzisiejszych czasów iście apokaliptycznych zmagań Kościoła z ateizmem zorganizowanym według starannie obmyślonego, diabelskiego planu walki. Papież zwraca się z zapytaniem, czy jest ktoś, kto nie patrzyłby ze zgrozą na nienawiść i zaciekłość, z jaką nieprzyjaciele Boga w wielu krajach starają się zniszczyć wszystko, co Boskie i chrześcijańskie. Pius XII stwierdza, że wobec takiego stanu wszyscy ci, którzy zostali ochrzczeni, nie mogą być podzieleni i rozproszeni i tracić czas, ponieważ są zobowiązani do walki za Chrystusa.

(w. j.)

ALEKSANDRA STYPUŁKOWSKA

FAŁSZ PODRĘCZNIKA

Oceniając sytuację w Kraju, stwierdzamy zgodnie, iż najbardziej narażone na infiltrację komunizmu jest młode pokolenie. Wiele mówi się i pisze o przymusowej indoktrynacji młodzieży przy pomocy kursów marksizmu-leninizmu. Zaszczepienie młodym doktryny materialistycznej, oderwanie ich od światopoglądu chrześcijańskiego stanowi największe źródło niebezpieczeństwa, lecz nie jedyne. Równolegle z kursami ideologicznymi działa aparat mający na celu wytworzenie w świadomości takiego obrazu dziejów minionych i rzeczywistości obecnej, który odpowiadałby politycznym celom Rosji Sowieckiej. Ideologia komunistyczna stanowi tu tylko ukryty przewód przez uzurpowanie sobie tytułu do niepodległościowej legendy.

Głównym narzędziem oddziaływania jest fałsz historyczny przekraczający cynizmem wszystko, co wyobrazić sobie może człowiek Zachodu. Jeśli fałsze te głosi prasa, jeśli padają one z ust prokuratorów czy najemnych sędziów w procesach pokazowych — kładziemy je na karb propagandy. Ale gdy pojawiają się jako materiał „naukowy“, gdy pieczętuje je pedagogiczna powaga — zjawisko nabiera grozy szczególnej. Wykład historii, geografii, literatury czy nauki o Polsce to już nie tylko zbiór propagandowych frazesów, ale przemyślnie zniekształcona kronika, która jak krzywe zwierciadło narzuca obraz ułudnie rzeczywisty, a przecie krańcowo zakłamany.

Od paru lat reżym wprowadza do szkół nowe podręczniki wydawane przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. W zaczętym roku szkolnym ogólny nakład nowych książek wynosi 24 miliony ze 153 tytułami. Sądzić należy, że wszystkie działy zostały już objęte komunistycznymi podręcznikami. Młodzież, odcięta od niezależnych źródeł wiadomości o świecie, skazana jest na ofenzywę niekontrolowanego niczym kłamstwa.

Mimo oporów wewnętrznych, które powstają w nas w czasie lektury wspomnianych książek, do obowiązków wychodźstwa należy baczne śledzenie postępów komunizacji w dziedzinie materiałów szkolnych. Mamy oto przed sobą kluczowy podręcznik p.t. „Nauka o Polsce i świecie współczesnym“. Autorów jest aż pięciu: J. Barbag, J. Lider, W. Najdus, K. Mariański, E. Słuczański. Trudno zaprawdę dociec jak tych pięciu rzekomych pedagogów zdołało napisać wspólnie książkę. W normalnych warunkach taka współpraca natrafiałaby na duże trudności. Ale robotę zespołową w komunistycznym ustroju ułatwia znakomicie fakt, że istnieje linią generalna, narzucająca jednobrzmiące formułki i zamykająca drogę do indywidualnego ujęcia zagadnień. Z rewii nonsensów, których podręcznik dostarcza, wybierzemy szereg cytat dotyczących najbliższego nam okresu, t.j. lat wojny i okupacji. Polemizować z tekstem nie zamierzamy, bo ta camera obscura mówi sama za siebie.

Oto **początek wojny**: „Powodowany klasową nienawiścią do ZSRR i idąc za głosem Anglii, rząd polskich fabrykantów i obszarników odrzucił pomoc wojenną Związku Radzieckiego ofiarowaną na wypadek najazdu hitlerowskiego. Nawet mając nóż na gardle, rząd wolał wydać bezbronną Polskę w ręce barbarzyńskiego najeźdźcy... Nie chciał się oprzeć na pomocy bohaterskiej Armii Radzieckiej... W tych warunkach rząd Radziecki, rozumiejąc, że imperialiści chcą pchnąć faszystów przeciwko niemu i udzielić im w wojnie poparcia, postanowił pokrzyżować plany rządów kapitalistycznych. W r. 1939 zawarł pakt o nieagresji z Niemcami, uzyskując w ten sposób czas na lepsze przygotowanie się do przyszłej nieuniknionej wojny z faszyzmem.“

A oto **charakterystyka rządu polskiego na uchodźstwie**: W skład rządu emigracyjnego wchodzili podobnie jak przed wojną — przedstawiciele polskich obszarników, fabrykantów i bankierów — przedwojenni działacze sanacji i endecji oraz wysługujący się im prawicowi PPS-owcy i ludowcy.“ **O gen. Sikorskim** czytamy: „Sikorski rozumiał, że prowadzona przez sanację i endecję polityka szczucia na potężny Związek Radziecki i wysługiwania się Hitlerowi doprowadziła do klęski wrześniowej, że jedynie sojusz z potężnym Związkiem Radzieckim jest drogą do niepodległości. Gdy jednak próbował wprowadzić te zasady w czyn i stał się niewygodny dla sanacji i endecji, zginął w tajemniczej katastrofie samolotowej w Gibraltarze.“

Uczniowie, wśród których są synowie i córki jeńców polskich pomordowanych w **Katyniu**, dowiadują się takiej prawdy o tej jedynej w dziejach zbrodni: „Przykładem antyradzieckiej propagandy może być osławiona sprawa katyńska. Niemcy, nacierając na Moskwę, zagarnęli w okolicy Smoleńska w r. 1941 obóz internowanych oficerów polskich i wymordowali ich, następnie zaś usiłowali odpowiedzialność za tę straszliwą zbrodnię przerzucić na władze radzieckie. Reakcja polska chętnie podjęła tę prowokację wrogów narodu polskiego, poparła propagandę hitlerowską i doprowadziła do zerwania stosunków ze Związkiem Radzieckim... Do takiej podłości, do takiej zbrodniczej polityki stoczył się rząd londyński, rząd polskich bankierów i obszarników, w swej nienawiści do państwa robotników i chłopów, do Związku Radzieckiego.“

Geneza **Drugiego Korpusu** zamyka się w następującej wzmiance: „Związek Radziecki był największym skupiskiem polskiej emigracji (!!) Losy wojny rzuciły na rozległe tereny naszego wschodniego sąsiada miliony Polaków... Na podstawie umowy między ZSRR a emigracyjnym rządem londyńskim w r. 1942 powstała na terenie ZSRR armia polska, która miała walczyć u boku Armii Radzieckiej. (Uwaga: Armia Polska pisana jest z małej litery w przeciwieństwie do Armii Radzieckiej). Na czele tej armii stanął gen. Anders. ...Władze radzieckie uczyniły wszystko, by stworzyć dla armii polskiej jak najlepsze warunki. Jednakże armia Andersa nie ruszyła do walki przeciw wspólnemu wrogowi. Anders, zaciekły reakcjonista, był wrogiem Związku Radzieckiego... powziął haniebną decyzję wycofania swych wojsk do Iranu. Zdradzając w ciężkiej chwili naród polski i jego sojusznika, plamiąc honor munduru żołnierskiego, powiódł 70.000 żołnierzy na długą poniewierkę i tułaczkę do obcej ziemi. Polonia radziecka (!!) boleśnie odczuła hańbę armii Andersa.“

O pochodzie Korpusu, o jego bitwach ani słowa. Obszernie za to opisane jest powstanie pod Riazaniem Dywizji polskiej im. Kościuszki. Stoczona przez nią **bitwa pod Lenino** wyrasta do roli nieporównanego wydarzenia historycznego: „Lenino — pisze podręcznik — było chrztem bojowym I Dywizji, a zarazem chrztem bojowym całego odrodzonego Wojska Polskiego.“ (tym razem z dużej litery).

Lata okupacji... W relacji autorów niesławnej książki dopiero wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej był „iskrą od której rozpaliła się walka znajdujących się pod okupacją narodów“. Z.W.Z. i Armia Krajowa, to narzędzie „dawnych sanacyjnych dygnitarzy, obszarników, fabrykantów i tych, którzy się im wysługują: WRN-u i prawicowych ludowców.“ Działalność **polskiego podziemia** scharakteryzowana jest w sposób następujący: „Naród chciał walczyć przeciwko hitlerowcom. Młodzi chłopcy i dziewczęta... wiedzieli, że na wschodzie naród radziecki bije się przeciwko wspólnemu wrogowi... Ale kierownictwo Armii Krajowej hamowało walkę z okupantem... Lecz reakcja nie dopięła swego celu. Organizację i oddziały partyzanckie zaczęły powstawać coraz liczniej, szczególnie od r. 1942. ...Walka ta przybierała na sile z każdym dniem, a szczególnie wzmogła się po powstaniu w Związku Radzieckim regularnych polskich sił zbrojnych (!!) i po utworzeniu Krajowej Rady Narodowej.“

Motyw o **„bohaterskich dołach“ i „zdradzieckiej górze“** przewija się przez cały rozdział o Polsce pod okupacją, by znaleźć kulminacyjny punkt w reakcji powstania warszawskiego i jego tragicznego epilogu. O klęsce powstania podręcznik mówi: „Przywódcy AK nie zawahali się przed ohydną zdradą. Weszli w kontakt z hitlerowskimi władzami wojskowymi. Prowadzili pertraktacje w sprawie wspólnej walki przeciwko Armii Radzieckiej i Wojsku Polskiemu... Dowództwo AK, wierne swej zdradzieckiej polityce, nakazało powstańcom poddać się faszystom niemieckim... Wiele oddziałów AK mogło się przebić na prawy brzeg Wisły ku regularnej Armii Polskiej walczącej u boku Armii Radzieckiej, lecz dowództwo AK, które unikało wszelkiej łączności z grupami desantowymi, wolało zdradziecko poddać się Niemcom niż połączyć się z ludowym wojskiem polskim, niż walczyć u boku Armii Radzieckiej.“ Na tle rzekomej zdrady przywódców i ślepego zapału żołnierzy urasta wizja świadomego ruchu podziemnego zgrupowanego jakoby w Gwardii i Armii Ludowej oraz w PPR. Szeroko rozpisuje się podręcznik o aktach dywersji dokonanych przez te oddziały, cytując znane wypadki komunistycznych prowokacji takich jak zamach na Café Club i restaurację dworcową. „Nie ma bodaj piędzi ziemi, gdzie by nie pozostały ślady walk setek bezimiennych bohaterów Gwardii Ludowej“. Niechlujstwo frazeologii jest charakterystyczną cechą podręcznika. Gwardia Ludowa musiałaby zgodnie z tym twierdzeniem liczyć miliardy. Napuszone to kłamstwo ma na celu odwrócenie oczu od krwi setek tysięcy żołnierzy Polski Podziemnej poległych w walkach o wolność.

Pomijamy dytyramby na cześć Związku Patriotów Polskich i K.R.N., a przejdziemy do tego, co stanowi zasadniczy i nie zawoalowany już niczym cel książki. Oto końcowa synteza rozdziałów poświęconych **latom wojny i okupacji**: „Zakończyła się druga wojna światowa. Polska odzyskała niepodległość. I naród nasz nigdy nie zapomni, że wolność przyniosła mu Armia Radziecka walcząca pod genialnym kierownictwem generalissimusa Stalina... Groby żołnierzy radzieckich rozsiane po całej Polsce są pomnikiem walki Armii Radzieckiej o wolność naszego kraju. Wdzięczność dla Armii Wyzwolicielki, wdzięczność dla Wielkiego Stalina żyje w sercu narodu Polskiego“.

Na zakończenie warto przytoczyć tu **obraz zachodniego świata**, zniekształcony nie mniej niż znane nam zdarzenia z ostatnich lat. Zadaniem podręcznika jest wtłoczenie w umysły młodzieży koszmarnego obrazu, w którym barbarzyństwo, prawo silniejszego, wyzysk i nędza panują wszechwładnie. Stara teoria prof. Wargi o nieuchronnej katastrofie gospodarczej Zachodu znajduje tu pełny wyraz. „W całym świecie kapitalistycznym ogólna produkcja coraz gwałtowniej spada... Powstają całe armie bezrobotnych, którzy wraz z rodzinami stanowią około 150 milionów głodujących ludzi... W Stanach Zjednoczonych... ofiarami bezrobocia stają się przede wszystkim kobiety, Murzyni i robotnicy słowiańskiego pochodzenia (!). W poszukiwaniu tańszego robotnika przemysł amerykański zatrudnia masowo dzieci w wieku od lat 8-u do 10 (!) Fabryki zmuszają dzieci do pracy w ciągu 12 godzin na dobę... Na pogłębienie kryzysu w USA wskazuje także kurczenie się handlu detalicznego. W sklepach leżą towary, których nikt nie kupuje. Tłumaczy się to zubożeniem szerokich mas ludowych wskutek bezrobocia.“

Cóż o swobodach obywatelskich? W odróżnieniu, widać, od niezmąconej niczym wolności sowieckiej, w krajach kapitalistycznych... „ogranicza się wolność zebrań i niezależność prasy. W Stanach Zj. film, radio, wydawnictwa są pod coraz ostrzejszą kontrolą i muszą uprawiać propagandę zgodną z interesami właścicieli koncernów, karteli i trustów... Na wzór hitlerowski propaganda amerykańska stara się wmówić masom pracującym, że źródłem ich niedoli nie jest kapitalizm, lecz ludzie innej rasy jak Murzyni czy Słowianie“.(!) Okazuje się wreszcie, że na Zachodzie łamie się nie tylko prawa socjalne, ale i gnębi się objawy przywiązania do idei niepodległościowej, jako szkodliwego przeżytku.

Nie trzeba chyba oczekiwać, by podręcznik docenił **rolę Kościoła katolickiego**, jako wielkiego i samoistnego czynnika w budowie świata. Ale prymitywizm insynuacji skierowanych przeciwko Papieżowi i klerowi bije wszystkie rekordy. Czytamy więc w ustępach poświęconych wojnie: „W obozie reakcji był również — jak zwykle — Watykan, który nakazywał podporządkować się okupantowi i posłusznie wykonywać jego rozkazy“. W rozdziale o t. zw. Polsce Ludowej znajdujemy taki zwrot: „W walce z ustrojem demokratyczno - ludowym pomaga burżuazji reakcyjna część kleru. Są to przeważnie wyżsi duchowni, jak np. biskupi, najczęściej synowie fabrykantów i obszarników... Reakcyjna część kleru działa na zlecenie papieża, który coraz jawniej wysługuje się imperialistom.“ Osoba Papieża wspomniana jest jeszcze szereg razy, zawsze w jednakich barwach, jako świadomego agenta kapitalizmu.

Kłamstwo, przekraczające granice zdrowego rozsądku budzi niekiedy uczucie śmieszności. Niestety pojawienie się takiego zbioru nonsensów jako podręcznika, według którego urabiać się ma pogląd młodzieży polskiej na własny kraj i na świat, jest zjawiskiem przerażającym i zaiste nie notowanym w historii wychowania.

A. Stypułkowska

WACŁAW GRUBIŃSKI

PO ŚMIERCI JOUVETA

Śmierć aktora jest zniknięciem na zawsze indywidualnej urody, indywidualnego wdzięku. Dlatego jest zdarzeniem smutniejszym niż śmierć pisarza. Pisarz zostaje w swoich dziełach, aktor zabiera do grobu, do urny popielcowej i swoje dzieło. Znakomity aktor umiera jak kobieta słynna z piękności, z tego czegoś nieważkiego, co ją czyniło uwielbioną. Po pięknej kobiecie zostaje wspomnienie z każdym dniem przezroczystsze, fotografia nigdy dokładna, portret niezawsze wierny.

Od niewielu lat zaczęło się uwiecznianie aktora przez kinematograf. Nie każdy jednak aktor jest fotogeniczny. Np. Osterwa, tyle uroku wnoszący na scenę, na ekranie „nie wychodzi“. Aparat kinematograficzny rozbijał, jeżeli można się tak wyrazić, atomy jego wdzięku i złoto jego powabu przeistaczało się na ekranie w szarość ołowianą. Natomiast Kazimierz Junosza-Stępowski nie dał się rozbić maszynie pośredniczącej między artystą a ekranem i indywidualność tego wielkiego aktora, większego niż Jaracz i Osterwa, została na zawsze utrwalona przez film.

Umarł właśnie świetny aktor francuski, Ludwik Jouvet, z głośnej szkoły Copeau. Że grywał i dla ekranu, ekran go przechowa.

Pisma paryskie poświęcają mu wiele miejsca, ponieważ Jouvet do końca życia był czynny i odszedł nagle, niespodziewanie. Miał zaledwie 63 lata, co w dzisiejszych czasach jest prawie młodością, gdy weszło w zwyczaj umieranie po dziewięćdziesiątce (Bernard Shaw, król Gustaw szwedzki, marszałek Petain...), gdy osiemdziesięcioletni André Gide pisze do samej agonii i, jak osiemdziesięcioletni Anatol France, konając nie może umrzeć, kilka dni unoszony przez agonię, długo dla niej nie do udźwignięcia. Można by prawie powiedzieć, że żyjemy w epoce wielkich i mocnych starców, Matuzalemów niesytych dni!

Co prawda i młodość zaczyna się jak gdyby później, czyli że i dzieciętwo trwa obecnie dłużej. Czterdziestoletni poeci występują z pierwszym tomikiem wierszyków, niby osiemnastoletnie panny idące na swój pierwszy bal publiczny. Pacholęcy Lechoń wkraczający w szranki poetyckie, a obok niego Wierzyński, stanowią dziś osobliwość.

Tedy Ludwik Jouvet umarł młodo w sześćdziesiątym trzecim roku życia.

Nigdy go nie widziałem na scenie. Widywałem go na ekranie. Jeżeli na tej tylko podstawie wolno wydać sąd o aktorze, to ośmieliłbym się powiedzieć, że gra Jouveta, aktora niewątpliwie pełnego talentu, psuło (mi) jego terminowanie u Copeau. Mówiąc inaczej grę Jouveta psuły (mi) jego nawyki reformatorskie i pedagogiczne. Grał nie tyle dla publiczności, co dla młodych aktorów. Pokazywał, jak należy interpretować tę właśnie rolę.

Świadomość artystyczna jest rzeczą piękną, ale nuta dydaktyczna jest w grze aktorskiej grzechem ciężkim. Aktor powinien grać, nie komentować rolę.

Ta pasja (modna) komentowania roli podczas jej wykonywania ogarnęła wielu współczesnych aktorów i stała się niejako piętnem dzisiejszości teatralnej. Np. Sir Olivier, wybitny aktor i reżyser o ambicjach reformatorskich, zamiast gać „Hamleta“, nauczał z ekranu, jak należy rozumieć tę rolę.

Sądzę, że mniej grzeszyli dawniejsi aktorzy „zapędzając się“ na scenie pod wpływem intuicji, niż ci obecni, grający „z premedytacją“, zatruci intelektualizmem, intelektualizmem często znacznie mniej przenikliwym, niż ich talenty (irracjonalnie nieomylniejsze). Wolę Kazimierza Kamińskiego, który słuchał tylko swego „dajmoniona“ aktorskiego (a wydawał się aktorem o wielkim intelekcie), wolę Jerzego Leszczyńskiego, Wojciecha Brydzińskiego, Mieczysławę Ćwiklińską, Marię Przybyłko-Potocką, niż Jaracza czy Osterwę z drugiej połowy ich kariery scenicznej, t.j. z tego okresu, gdy zaczęli „tworzyć intelektualnie“, t.j. zatruci myśleniem reformatorskim.

Otóż mam wrażenie, że twórczość aktorską Jouveta deprawował i minimalizował jad analizy intelektualnej. Twórczość to akt syntetyzowania, analiza jest aktem rozkładania. Trzeba być genialnym myślicielem i artystą, aby, dopuściwszy do aktu twórczego świadomość analityczną, nie zepsuć tworzonego dzieła. Umiał te dwa elementy stapiać w jedną całość np. Leonardo da Vinci, ale np. u El Greco obok natchnienia (ekstazy) widzimy często w kompozycji obrazu niedołęstwo intelektualne.

Prawdziwie znakomite dzieło sztuki robi wrażenie prostoty. Dopiero analiza krytyczna ujawnia zawiłość tej prostoty. Szybki ruch dziecka, które rzuca piłkę, skok pudla ku motylowi, odepchnięcie kłębka nici przez rozigranego kota, wszystko to jest tak proste, że nie wymaga tłumaczenia. Ale spróbujmy rozebrać te ruchy na części składowe! Wtedy się okaże, jak są skomplikowane! Dla intelektu! Nie dla dziecka, psa, kota!

W grze Jouveta (na ekranie) wciąż spostrzegam, że ta gra składa się z kawałków (tak samo, jak gra Oliviera w „Hamlecie“). Po nauczycielsku kładzie Jouvet na słowach akcenty cokolwieczek za wymowne (aby zwrócić na nie uwagę); pauzy odrobinkę przeciąga (aby wykazać ich znaczenie) i oto mamy do czynienia nie z dziełem sztuki (syntezą), lecz z dziełem wykładowcy (z analizą).

Poza tym Jouvet był świetnym aktorem. Przypuszczam, że więcej go uwielbiali aktorzy niż publiczność i bardziej się podobał krytykom z rodzaju h i g h b r o w niż spektatorom, którzy przychodzą do teatru po wrażenia, nie po pracę myślową.

W naturze dzieła sztuki leży pogrążanie nas w zadumę. Ale zaduma jest czymś innym niż spekulacja umysłowa.

Wacław Grubiński

N o t a t k i

POLAK PO RAZ DRUGI DZIEKANEM NA UNIWERSYTECIE FRYBURSKIM

Ojciec I. M. Bocheński, O. P. — profesor filozofii współczesnej na Uniwersytecie Fryburskim w Szwajcarii — został ponownie wybrany Dziekanem Wydziału Humanistycznego U. F. na rok akademicki 1951/52.

Fakt wyboru po raz drugi z rzędu na stanowisko Dziekana nie był dotychczas notowany w kronikach Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Fryburskiego. To chlubne wyróżnienie polskiego uczonego stanowi wydarzenie dużej wagi.

KURS PRELEGENCKI

Z inicjatywy młodych działaczy społecznych zostanie zorganizowany w Londynie krótki kurs prelegencki (bezpłatny).

Kurs odbędzie się 30 września br. (w niedzielę), w sali The Virgo Fidelis Convent, 189, Old Brompton Rd., S. W. 5. Początek punktualnie o godz. 15.

Wykładają: ks. kan. T. Kirschke, dr L. Pobóg-Kielanowski i p. A. Jacyna; wykładowcy będą mówili na tematy: „Człowiek wyrazisty“, „Słowo wyraziste“ i „Technika przemawiania“.

Zachęca do przybycia na kurs i zaprasza: Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii.

Informacje: Tel.: SLO 6326.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Prześladowanie w Polsce. W ostatnich kilku miesiącach Bezpieka przeprowadziła szereg potajemnych nocnych aresztowań wśród duchowieństwa katolickiego w Polsce. Aresztowania te stoją w związku z represjami wobec polskiego podziemia. Aresztowania księży trzymane są w największej tajemnicy, odbywają się prawie zawsze nocą lub wczesnym rankiem, a tym, którzy rozpowiadają o aresztowaniu, grozi również więzienie.

W ciągu lata reżym zastosował represje wobec katechetów szkolnych, którzy odważyli się udzielać ostrzeżeń młodzieży, udającej się na wakacje w komunistycznych obozach letnich. Cały szereg katechetów zwolniono ze szkół oraz aresztowano kilku za krytykę komunistycznego reżymu.

Prześladowanie w Chinach. W opanowanych przez komunistów Chinach przeprowadzane są mordy w olbrzymiej skali. Całe Chiny spływają krwią ludzi mordowanych po kryjomu lub w tzw. sądach ludowych pod pretekstem reakcyjnego działania.

Ze specjalnym okrucieństwem zwrócili się komuniści przeciw wspaniałej i ofiarnej pracy katolickich diecezji chińskich oraz katolickich misjonarzy. Więzienia przepełnione są biskupami katolickimi, księżmi i zakonnicami. Wielu z nich zostało zamordowanych. Administracja kościelna zdruzgotana, kościoły zamknięte. To prześladowanie jest tak wielkie, iż poczyna nawet w dzisiejszym zobojętniałym świecie budzić grozę. Komuniści nie ukończyli wszakże swego morderczego działania w Chinach. Druzgotanie Kościoła trwa w dalszym ciągu.

Kongres Apostolstwa Świeckiego. W dniach od 7 do 14 października odbędzie się w Rzymie pierwszy międzynarodowy Kongres Apostolstwa Świeckich. Po raz pierwszy w skali międzynarodowej zbiorą się w Rzymie przedstawiciele katolickich organizacji świeckich ze wszystkich krajów. Narody zza żelaznej kurtyny, które nie będą mogły wysłać swych delegacji, reprezentowane będą przez narodowościowe grupy uchodźców.

Ośmiodniowe obrady poświęcone będą koordynacji i rozszerzeniu działalności katolików świeckich oraz studium komunizmu i innych ateistycznych totalnych prądów. Zjazd rozszerzy udział katolików świeckich w życiu Kościoła i wzmocni świadomość religijną do walki z ateizmem.

Zwycięstwo katolików francuskich. Katolicy francuscy odnieśli duży sukces, gdy parlament, po długich i namiętnych debatach, uchwalił projekt ustawy przyznającej pomoc finansową szkołom katolickim. Sprawa ta omal nie doprowadziła do upadku rządu p. Rene Plevena, gdyż oprócz komunistów przeciw szkolnictwu katolickiemu występowali socjaliści. Atakowali oni z dziwną zajadłością projekt ustawy, głosząc nadal uparcie zasadę wyłączności szkół bezreligijnych Projekt przyjęto jednak ogromną większością, bo 370 głosami przeciw 247.

Ustawa oznacza odwrót walki z Kościołem, przeprowadzonej we Francji z całą bezwzględnością na początku bieżącego stulecia, za czasów wszechwładzy masonerii. Ustawa przeznacza 950 milionów franków, a więc sumę stosunkowo niedużą, dla szkół wolnych, niepaństwowych, które w olbrzymiej większości są szkołami katolickimi.

Jeśli chodzi o szkolnictwo powszechne, niższego stopnia, to w szkołach państwowych kształci się 3.738.992 dzieci, a w szkołach wolnych 900.679. W szkolnictwie średnim stosunek jest korzystniejszy dla katolików, gdyż w gimnazjach katolickich jest 320 tys. uczniów, a w państwowych 420 tys.

Zmarł w Paryżu dominikanin, o. Henryk Delorme. Wstąpił on do zakonu po I Wojnie Światowej, w czasie II-ej był kapelanem wojskowym w Tunisie. Był autorem dzieła „Kapitalizm i katolicyzm“ i życiorysu św. Alberta Wielkiego.

Rozwody we Francji. Socjalistyczny klub wniósł do parlamentu projekt nowej ustawy o rozwodach. Projekt przewiduje m. in. rozwód w wypadku, jeśli nań zgadzają się małżonkowie, i to już po dwóch latach małżeństwa. Katolicka prasa Francji protestuje przeciwko temu projektowi.

Kardynał w Krucjacie Wolnej Europy. Kardynał Franciszek Spellman, arcybiskup Nowego Jorku, wybrany został na członka korporacji „Crusade of Freedom“, zajmującej się zbieraniem funduszów i prowadzeniem antykomunistycznej akcji w krajach za żelazną kurtyną. Centrala Wolnej Europy, skupiająca prawie wszystkie narodowości, będące pod panowaniem Sowietów, znajduje się w Nowym Jorku, skąd prowadzi Radio Wolnej Europy, transmitujące w szeregu języków audycje za żelazną kurtynę oraz zbiera dokumenty o gnębieniu narodów przez Kremlin.

NOWE FILMY

BANIA ŁADNYCH OSIĄGNIĘĆ

W ostatnim miesiącu rozbiła się nad Londynem bania z dobrymi, a przynajmniej interesującymi filmami. Podczas gdy w ostatnim moim przeglądzie stosunek obrazów godnych szczegółowego omówienia do tych, które złożyłem na cmentarzyku filmowym wynosił 5 : 7, obecnie szanse wyrównały się: tylko pięć filmów znajdą Czytelnicy w kostnicy (z tego jeden dobity przeze mnie mimo b. wysokiego poziomu rzemiosła) i tyleż na honorowych miejscach miesięcznej klasyfikacji. Jest to wynik już bardzo dobry, jeśli zważyć, że normalnie Hollywood produkuje jedno dobre dzieło na około 30 szmir lub rozrywkowych banałów.

Zacznijmy od Disney'owskiej „Ali w krainie czarów" (**Alice in Wonderland**), której premiera odbyła się w Londynie, podczas gdy nakręcona jednocześnie wersja brytyjska bajki Lewisa Carolla poszła do Nowego Jorku. Choć kolorowa kreskówka Disney'a jest niewątpliwie osiągnięciem wysokiej klasy, uważam ją — wbrew opinii licznych krytyków brytyjskich — za jedno ze słabszych dzieł tego wielkiego artysty, bezwzględnie gorsze od „Cinderelli", „Bambi" lub „Królowej Śnieżki".

Mniejsza już z tym, że Disney bardzo liberalnie i arbitralnie postąpił sobie z tekstem dwu książek wiktoriańskiego bajarza, kompilując wątki z „Alice in Wonderland" i z „Alice Trough the Looking Glas", opuszczając wiele postaci i stwarzając nowe. Byłbym ostatnim, któryby robił mu zarzut z tego powodu, bo nie ma żadnego powodu sentymentalizować na temat bajek, na których się nie wychowałem. Gdyby twórca „Alicji w krainie Disney'a" osiągnął zwartość i jednolitość filmowego utworu, przyklasnąłbym z radością takiej robocie. Niestety, to mu się nie udało. Odrzucając linię Carolla i tylko częściowo idąc za głosem słynnego w tym kraju ilustratora Tenniela, nie potrafił Disney przepoić swego filmu nowym stylem, któryby zdołał, doskonale zresztą, fragmenty zespolić w jedną artystyczną całość. W rezultacie mamy coś w rodzaju rewii, obfitującej w świetne i przezabawne numery (nb. najlepsze z nich — jak gąsienica, rozmawiająca przy pomocy dymu z fajki, wypuszczanego w formie liter i in. pochodzą od autora tekstu lub od Tenniela), ale nie powiązane ze sobą w sposób przekonywujący. Porównanie z rewią jest tym bardziej usprawiedliwione, że Disney wprowadził do swej „Ali" bardzo nowoczesną muzykę niedostatecznie zharmonizowaną z tradycyjnym tekstem. W rezultacie mamy bardzo interesujący film-bigos, który nie może smakować — jako całość — wytrawnemu smakoszowi. Krytyk „Daily Mail" p. Jympson Harman obliczył nawet elementy tego bigosu (który jemu smakował wybornie): 40 proc. Lewisa Carolla, 20 proc. Tenniela i 40 proc. Disney'a.

Jeśli chodzi o postać tytułową (głos Kathryn Baumont), to Ala pozostawia wiele do życzenia nie tylko pod względem rysunkowym (Disney'owi nie udało się dotąd stworzyć porywającej postaci niekarykaturalnej, co już komentowałem przy okazji „Kopciuszka"), ale także z punktu widzenia postawienia roli. Disney'owska Alicja nie dość żywiołowo napawa się swą przygodą w krainie czarów. Jej częste „Oh, no!" nasuwają przypuszczenie, że jest zbyt przemądrzała i tylko w połowie, może w trzech czwartych, wierzy w oglądane cuda i cudeńka. Osobiście na jej miejscu zachowałbym się bardziej radośnie i nie miałbym żadnej wątpliwości, że gdy Marcowy Zajączek prosi o pół filiżanki herbaty, to Zwariowany Hatter musi rzecz jasna i oczywista, przeciąć wzdłuż filiżankę i nalać napój do połówki. Że herbata się nie wyleje, — to jasne jak parasol: jesteśmy przecież w Krainie Czarów, a nie w naszym nudnym (i także niezrozumiałym) racjonalistycznym świecie.

Mimo tych wad, a raczej jednej zasadniczej wady, zachęcam każdego do obejrzenia bajki Disney'a. Zostało w niej dość swoistego humoru, barw, pomysłów i plastycznego piękna, aby obdzielić tym bogactwem miliony zgorzkniałych dzieci od 8 do 100 lat wieku.

Wraz z „Alą w krainie czarów" podano arcydzieło nierysunkowe Disney'a pt. „Beaver Valley", przewyższające poprzednią krótkometrażówkę o Wyspie Fok. Przy pomocy wspaniałego, artystycznego montażu wydobył tu Disney prawdę o życiu zwierząt, a zwłaszcza bobrów w bezludnej, ale zato pełnej ptaków i ssaków dolinie amerykańskiej. Zdumiewa rytmiczna kompozycja, pełnia tego wspaniałego obrazu i pracowitość z jaką z setek tysięcy klatek, przez zestawianie i eliminację doszedł Disney wraz ze swym zespołem do wspaniałej syntezy.

* * *

„Człowiek w białym ubraniu" — („**The Man in the White Suit** — wytw. Ealing Stoudios) zachwiał w pewnym stopniu moją opinię, że Anglicy nie są zdolni do publicznej twórczej samokrytyki. Jeden z młodszych reżyserów angielskich, twórca komedii „Whiskey Galore", Alexander Mackendrick zdobył się tu na pokazanie — w ramach typowo angielskiej komedii w stylu Ealing Studios — głębszego problemu krótkowzrocznego egoizmu narodowego Anglików i ich przyziemnego „realizmu", wynikającego z ograniczonej wyobraźni. Podejrzewam jednak, że uczynił to w dużym stopniu przypadkowo, na co wskazuje analiza treści filmu.

Podrzędny laborant przemysłowy (Alec Guinness — świetna kreacja) po wielu perypetiach wynajduje materiał nie ulegający zniszczeniu i poplamieniu. Przed ubogimi ludźmi otwierają się piękne horyzonty ograniczenia wydatków, a fabryka, w której Guinness pracuje, ma nadzieję zrobić wielkie pieniądze na produkcji niezniszczalnych i niebrudzących się ubrań. Tak by się tylko zdawało, bo oto o wynalazku dowiadują się rekiny kapitalistyczne z chciwym, ohydnym starcem, Sir John Kierlowem (Ernest Thesinger — prawie molierowska postać) na czele. Guinnessa, paradującego już w pierwszym idealnym ubraniu, osaczają macki podstępu i przekupstwa. Wielki kapitał, do którego przyłączają się zatrwożeni o swe posady robotnicy, stara się zmusić wynalazcę do sprzedaży formuły i wyrażenia zgody na zaniechanie produkcji. Sceny, przedstawiające tę walkę chciwości i głupoty ze społecznym idealizmem, wyreżyserowane są i zagrane wspaniale i gdyby tę historię utopienia w kalkalkulacjach giełdowo - pieniężnych nie pierwszego i nie ostatniego pożytecznego wynalazku zamknąć na porażce laboranta — film można by bez reszty zakwalifikować jako piękną i twórczą satyrę na bolączki naszego niedoskonałego świata. Niestety, idąc po linii znacznie płytszej, Mackendrick do spółki ze scenarzystami wyśmiewa dalej samego wynalazcę: okazuje się, że jego niezniszczalne ubranie nie wytrzymuje próby czasu i rozłazi się na oczach wyjącej ze śmiechu gawiedzi dyrektorów, rekinów i robotników. Guinness pozostaje w bieliźnie — odchodzi samotnie pustą ulicą, na wzór Chaplina, ale w gorszym wydaniu.

W każdym razie „The Man in the White Suit" jest osiągnięciem dużej klasy. Pod względem formalnym wnosi on oprócz zwykłych elementów humoru brytyjskiego uroczą nowość w postaci kolb i butelek laboratoryjnych, wydających ze siebie kapitalne, przezabawne odgłosy w rytmie Samby. Motyw ten towarzyszy wszystkim poczynaniom idealisty- Guinnessa, bawiąc do łez, choć ani Kant, ani Bergson nie przewidzieli tego gatunku humoru. Dla samych tych przedziwnych bulgotów warto film obejrzeć. W rolach pierwszoplanowych Joan Greenwood i Cecil Parker, w pomocniczych: M. Gough, Thesinger, H. Crawford, Vida Hope i in.

* * *

Nakręcony przez amerykańską wytwórnię 20th Century Fox w Anglii i przy użyciu aktorów i techników angielskich, będący przeróbką powieści Nevil Shute film „**No Highway**", swą wybitną pozycję w produkcji bieżącej zawdzięcza prawie wyłącznie pięknej kreacji Jamesa Stewarta w roli Boffina, czyli uczonego, pracującego dla wielkiej wytwórni samolotów.

Stewartowi, któremu nieraz przedtem można było zarzucić irytującą manierę, udało się tym razem przeniknąć do głębi i pokazać psychikę roztargnionego, oddanego wyłącznie swym naukowym kalkulacjom technika. Z teoretycznych, właśnie sprawdzanych eksperymentalnie obliczeń, wynika, że ogon samolotu pasażerskiego typu Reindeer powinien odlecieć wskutek pewnych napięć wewnętrzno-konstrukcyjnych po 1444 godzinach lotu. Trzeba trafu, że Stewart zmuszony jest odbyć podróż służbową właśnie samolotem Reindeer, którego kariera lotnicza dobiega właśnie tego krytycznego czasokresu. To daje okazję do wyzwolenia uczuć ludzkich zamkniętego w swych liczbach (i dotychczas w specyficzny sposób obojętnego na aspekty humanistyczne swej pracy) uczonego. Mimo poważnych braków kompozycyjnych, „No Highway" jest dziełem sztuki dzięki przenikliwej i odkrywczej kreacji Stewarta. Reżyserował Henry Koster, w rolach kobiecych Marlena Dietrich i Glynis Johns. Gra całego zespołu wyrównana.

* * *

Ta sama wytwórnia dała nam ostatnio interesujący obraz dziwnego świata nurków wojennych, którzy w Anglii w czasie wojny nosili nazwę „Underwater Demolition Squads" i mieli za zadanie zakładanie podwodnych min oraz oczyszczenie własnych portów z ładunków wybuchowych. O tej samej gałęzi amerykańskich komandosów podwodnych niewiele dotychczas było wiadomo i dopiero film „**The Frogmen**" odsłonił ich tajemnice. Jest to film dokumentarny w zupełnie czystym stylu, bez doczepionej sztucznie fabuły, która zwykle psuje jasność rysunku, jak to miało miejsce z „Operation Pacific" i z wieloma innymi obrazami. Tu mamy wprawdzie zwartą akcję, ale czysto wojskową, obracającą się się w ramach mentalności psychologii przeciętnego oddziału wojskowego oraz stosunku żołnierzy do surowego i wymagającego dowódcy (Richard Widmark — bardzo dobra kreacja). Co wyróżnia film — to niezwykłe środowisko ludzi-żab, pływających pod wodą nawpół nago z przyczepionymi do stóp płetwami, albo w lekkich skafandrach i dziwnych gumowych ubraniach. Ich płynne ruchy, lekkie, prawie taneczne — choć w gruncie rzeczy wypracowane długim treningiem — ewolucje do złudzenia przypominają jakiś fantastyczny balet podwodny. Zdumiewają pięknością ruchu nawet w chwilach dramatycznego napięcia, gdy Amerykanin z nożem w ręku rzuca się na japońskiego nurka. Ekspresję wzrokową, którą wydobyto wspaniała fotografią, podkreśla znakomicie dobrana ilustracja dźwiękowa. Sekwencjom podwodnym towarzyszy jedynie monotonny plusk wody, na tle którego tym silniej występuje uporczywa praca nurków i pierwotna walka o życie. Reżyserował Lloyd Bacon, w rolach drugoplanowych Dana Andrews i Gary Merrill. Film — choć zupełnie bez kobiet, a może właśnie dlatego — godny obejrzenia, specjalnie ciekawy dla młodzieży.

* * *

Tym razem nie mogę się zgodzić z uczoną i kulturalną recenzentką „Observera" p. C. A. Lejeune, ani z najdowcipniejszym krytykiem londyńskim p. Shulmanem, jeśli chodzi o ich krytyczną, prawie napastliwą ocenę wybitnego filmu naszego rodaka Józefa Mankiewicza „**People Will Talk**", napisanego i wyreżyserowanego przez niego według sztuki Curta Goetza pt. „Dr Praetorius".

Pani Lejeune twierdzi, że film jest przegadany i to językiem nie tyle angielskim, ile tłumaczonym na angielski, a p. Shulman zarzuca Mankiewiczowi-autorowi, że wyrzucił przez okno Mankiewicza-reżysera, co nie wyszło na dobre jego dziełu. Zarzut recenzentki „Observera" dziwi mnie bardzo, bo nie podejrzewałem jej dotąd o szowinizm. Anglicy już dawno przestali być panami świata, a wytwórnia 20th Century Fox pracuje nie tylko dla Anglii i bierze pod uwagę także cudzoziemców, nawet takich jak ja Dipisów, którzy nie troszczą się o finezje arcyangielskich idiomów, lecz chcą mieć dialog żywy, dowcipny i łatwo zrozumiały.

Wszystkie te zalety posiada słowo mówione Mankiewicza. Choć istotnie jest to film gadany, ale nie przegadany: każde zdanie skrzy się humorem, paradoksem, słowem pełnym ekspresji i — gdzie potrzeba — wagi. Do tego stopnia te dialogi nie nużą, tak są wtopione w akcję — nieco teatralną, to prawda, ale żywą i zwartą —, że po wyjściu z premiery zastanawiałem się długo, czy słuszny był mój dotychczasowy pogląd o pomocniczej tylko roli tekstu mówionego w sztuce filmowej. Dochodzę ostatecznie do przekonania, że w ramach tej sztuki jest miejsce także na dzieła o wielkim udziale słowa, czego dowodzą — jak dotychczas — wszystkie filmy Mankiewicza; obecnie omawiany i „All About Eve" oraz „An Letter to Three Wives".

„People Will Talk" jest komedią z problemem, czyli należy do gatunku, w którym specjalizuje się Mankiewicz. Tym razem wziął na warsztat profesję lekarską i na przykładzie znakomitego lekarza dra Praetoriusa (dobra gra Gary Granta) przeprowadził dowód, że dobry lekarz zajmuje się, względnie powinien zajmować się nie tylko ciałem, ale i duszą pacjenta.

Obok tego poważnego nurtu znajdujemy w filmie kilka kapitalnych sekwencji humorystycznych, jak zabawa miniaturową kolejką, której z największym zapałem oddają się profesorowie uniwersyteccy lub tragikomiczne opowiadanie byłego mordercy, dwa razy skazanego na śmierć i wreszcie powieszonego, a mimo to żyjącego i służącego bliźnim, (co prawda z bardzo ponurą miną i w aurze tajemniczo-posępnej). Tę rolę odegrał doskonale zwalisty Finlay Currie. Główną partię kobiecą odtworzyła urocza Jeanne Craine. W rolach pomocniczych Walter Slezak, Hume Crown i in.

* * *

„Strangers on a Train". Wirtuozeria dreszczu, kręcąca się koło własnego ogona, bo nie zmierzająca do niczego. Aby wrażliwszy widz nie miał powodów do oburzenia albo moralnej zgagi i pozwolił spokojnie łechtać swe pięty, Hitchcock kazał głównemu mordercy być wariatem (zresztą dosyć zabawnym). Onże (Robert Walker) proponuje niezbyt rozgarniętemu tenisiście Farley Granger'owi „ zamianę na morderstwa": Walker zamorduje niewierną żonę sportsmena, a ten rodzonego ojca wariata. Tak się zaczyna ta karuzela, której nieprawdopodobieństwa zamaskowano powodzią filmowych tricków, wspaniałej fotografii i sztucznie wywoływanych dreszczów, aby zakończyć to wszystko walką i strzałami na prawdziwej karuzeli, której przez dłuższy czas nikt nie może zatrzymać, co umożliwia reżyserowi i aktorom podniesienie jeszcze o parę stopni histerycznego napięcia publiczności. Formalnie film wybitny — można się z niego uczyć elementów języka filmowego. Gdyby reżyser miał coś do powiedzenia, mógłby przy pomocy tych samych środków artystycznych stworzyć arcydzieło. Wytwórnia Warner Bros.

„The Golden Horde". Film „kostiumowy" i kolorowy z czasów Dżingis Chana z Davidem Farrarem i Ann Blyth. Mongołowie najeżdżający Samarkandę, znajdują na bramie miasta groźny napis w języku angielskim, co ich wcale nie dziwi. Chronometrów na rękach wojowników Dżingis Chana nie zauważyłem, choć na jednym z dawniejszych „arcydzieł" amerykańskich tego typu któryś z Rzymian obnosił się spokojnie w todze, ze złotą Omegą na bohaterskim przedramieniu. Ramotę o Złotej Hordzie popełniła wytwórnia „Universal-International".

„Francis Goes to the Races". Odgrzewana historyjka o gadającym mule, który już raz (przed rokiem) napędził sporo pieniędzy amerykańskiej wytwórni Universal International i którego wobec tego postanowiono wydoić powtórnie, zatajając starannie fakt że właściwym autorem pomysłu jest niejaki Jonathan Swift, zmarły przed 250 laty. Z ludzi grają w tym filmie m.in. Donald O'Connor i Piper Laurie. Reżyser Arthur Lubin.

„I Was a Communist for F.B.I." Prymitywna, barbarzyńska propagitka antybolszewicka, gloryfikująca agenta policji M. Cveticа, który przez 10 lat udawał komunistę w Stanach Zjednoczonych, pobierając z pewnością wysokie apanaże. Zamiast pokazać na filmie łagry sowieckie, albo wejść głębiej w mentalność Fuksów i Pontecorvów, wydano grube pieniądze na szmirę, która swym niedołęstwem i moralnym ubóstwem może podziałać raczej zachęcająco na zbrodniczych maniaków, dopatrujących się w komunizmie zbawienia dla świata. Fiasco tego filmu, opartego niewolniczo na autentycznej, opisanej w gazetach historii, jest jeszcze jednym dowodem, że reportaż może być najwyżej punktem wyjścia, ale nigdy nie zastąpi dzieła sztuki. Wytwórnia Warner Bros. Reżyser Gordon Douglas.

„His Kind of Woman" — naciągnięty do nieprzyzwoistości melodramat gangsterski wyt. R.K.O., posiadający tę zaletę i wyższość nad wieloma filmami kowbojskimi, że podczas strzelaniny bohaterowie ładują rewolwery, sztucery i strzelby i strzelają mniej więcej tyle razy, ile mają ładunków. Pod względem tempa natomiast film ten bije rekordy ślamazarności i nie dorównywa Westernerom. Główny bohater R. Mitchum gra z martwą twarzą — robi wrażenie somnambulika, który budzi się — i to tylko na chwilę — dopiero wtedy, gdy bandyci usiłują mu zastrzyknąć czarną truciznę, która ma go zabić po roku. Tytuł nie ma żadnego uzasadnienia w treści filmu, a racja istnienia samego dzieła nie została uzasadniona ani względami rozrywki, ani tym bardziej sztuki, a także (daj Panie Boże) i kasy.

(sp)

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

Friedrich von Hügel. Michael de la Bedoyère, angielski pisarz katolicki i redaktor tygodnika „Catholic Herald", ogłosił biografię jednego z interesujących pisarzy religijnych z przełomu XIX i XX stulecia, Fryderyka von Hügela — („The Life of Baron von Hügel", Dent, cena 25/-). Hügel, urodzony w r. 1852 we Florencji jako syn posła austriackiego przy dworze wielkiego księcia Toskanii, poślubił w r. 1873 Angielkę, Lady Mary Herbert i spędził resztę swego życia w Anglii. Pierwsza jego książka „The Mystical Element" ukazała się w r. 1908; z dalszych wymienić należy „Eternal Life" (1912) oraz „The Reality of God". Hügel pod wielu względami zbliżał się do modernistów i niektóre z jego poglądów uległy poważnemu zakwestionowaniu z punktu widzenia nauki Kościoła katolickiego. Niemniej, zdaniem Bedoyère'a, praca jego myśli dała trwałe owoce.

Recenzent „Times Literary Supplement" wyraża pogląd, że po kardynale Newmanie Hügel jest tym pisarzem katolickim, który w naszych czasach wywarł największy wpływ na myśl religijną w Anglii.

„Polacy przeobrażają Londyn". Pod nagłówkiem „The Poles Redesign London" popularny tygodnik „Picture Post" z d. 8 września poświęca dwie strony odbywającej się obecnie w „Institute of Contemporary Art" (Dover Street, W. 1.) wystawie planów przebudowy centrum Londynu, opracowanych przez Szkołę Architektury przy Polish University College pod kierownictwem prof. Śmigielskiego.

Pismo reprodukuje osiem rysunków, przedstawiających planowane przekształcenie Trafalgar Square, dzielnicy Soho, Westminsteru, dzielnicy prasy dokoła Fleet Street, dzielnicy Covent Garden, City, okolic katedry św. Pawła i wreszcie Piccadilly z sąsiedztwem. W planach tych wielką rolę odgrywa odciążenie pewnych ulic i placów od ruchu kołowego, który wedle projektodawców skierowany będzie pod ziemię.

W swym krótkim wstępie redakcja „Picture Post" zaznacza, że opracowanie tych projektów zajęło pięć lat, ale wprowadzenie ich w życie potrwać może „nieco dłużej". Niemniej, zdaniem pisma, jest to wystawa „godna uwagi" (remarkable) i zwiedzenia.

Jak już podaliśmy poprzednio, wystawa otwarta jest od 13 września do 6 października br.

Perspektywy przyszłości. Znany pisarz amerykański John Dos Passos, autor powieści „U. S. A.", którą niektórzy z krytyków uważają za najwybitniejszą powieść „polityczną" literatury światowej obok „Nostromo" Conrada-Korzeniowskiego, ogłosił nową książkę pt. „The Prospect Before Us", która obecnie ukazała się w wydaniu angielskim (Lehmann, cena 15/-).

Tym razem nie jest to powieść, ale rodzaj opowiadania o podróżach, jakie autor odbył po Wielkiej Brytanii, Południowej Ameryce i Stanach Zjednoczonych, oraz rozmowach, jakie tam toczył. Rozmowy te ujęte są w postać dialogów, odbywających się między „wykładowcą" (ma nim być, oczywiście, sam autor) a słuchaczami, wśród których znajdują się przedstawiciele różnych poglądów społecznych i politycznych.

Dos Passos przygnębiony jest rozrostem we wszystkich krajach, jakie widział, nowej oligarchicznej i centralistycznie kierowanej kasty „managerów", bez względu na to, czy to będzie „big business" i wielkie związki zawodowe w Stanach Zjednoczonych, czy brytyjskie państwo socjalistyczne, czy też najdalej zaawansowany w koncentracji całej władzy w rękach małej grupki ludzi Związek Sowiecki. Idee wolności wszędzie znalazły się w pełnym odwrocie, i co gorsze, przyczyniają się do tego sami robotnicy, którzy do nich nie przywiązują żadnej wagi.

Lekarstwo — zdaniem Dos Passosa — leży w daleko idącej decentralizacji i dekocentracji władzy, w rozwoju somorządów i drobnych organizacji lokalnych. Nie jest to recepta nowa. Już przed Dos Passosem głosili ją pisarze tak różnych przekonań, jak Chesterton, Huxley czy Orwell. Do tej pory jednak mechanika życia zbiorowego idzie wszędzie w kierunku odwrotnym, do czego, oczywiście, przyczynia się wisząca nad całym światem chmura sowiecka.

Hindus o przyszłości swego kraju. Duże zainteresowanie w Anglii wywołała autobiografia pisarza hinduskiego, rodem z Bengalii, Nirad C. Chaudhuri, wydana przez londyńską firmę Macmillana („The Autobiography of an Unknown Indian", cena 21/-).

Są to właściwie rozważania na temat przeszłości i przyszłości Indii i ich kultury. Chaudhuri, który zresztą pisze o panowaniu brytyjskim w Indiach z surowym potępieniem, wyraża się bardzo pesymistycznie o przyszłości swego kraju. Zdaniem jego społeczeństwo hinduskie nie posiada ani dostatecznej żywotności, ani siły woli, by było zdolne do rządzenia się sobą. Dzieje Indii składają się z cyklów, w czasie których kraj ten zawsze żył w oparciu o cywilizacje coraz to nowych zdobywców. Był więc cykl indo-aryjski, potem cykl indo-islamski i wreszcie cykl indo-europejski. Ten ostatni nie zakończył się wcale, zdaniem autora, z chwilą uzyskania przez Indie niepodległości. Indie, twierdzi Chaudhuri, będą w najbliższym okresie polem ekspansji kultury europejskiej w jej najwulgarniejszych postaciach.

Wspomnienia więźniów sowieckich. Arthur Koestler napisał przdmowę do książki Alexa Weissberga „Conspiracy of Silence". Weissberg, uczony pochodzenia austriackiego i były członek partii komunistycznej, aresztowany został przez NKWD w r. 1937 pod zarzutem udziału w spisku, mającym na celu zamordowanie Stalina i Woroszyłowa. Później bolszewicy wydali go niemieckiemu Gestapo. Wspomnienia Weissberga ukażą się krótce nakładem firmy Hamish Hamilton.

Ze swej strony firma Eyre and Spottiswoode wypuszcza wkrótce na rynek księgarski wspomnienia innego więźnia sowieckiego, Vladimira Pietrowa, zatytułowane „It Happens in Russia". Pietrow spędził 7 lat na robotach przymusowych w kopalniach złota w Syberii. Jest on obecnie wykładowcą w Yale University w Stanach Zjednoczonych.

Obrona Zachodu. Sir Ian Jacob wraz z grupą ekspertów Royal Institute for International Affairs zajął się zagadnieniem obrony militarnej Zachodu w razie inwazji sowieckiej. Wyniki tych studiów ogłoszone zostały w książce p.t. „Defence in the Cold War" (cena 5 sh.). Wedle autorów do obrony Europy zachodniej potrzebnych jest co najmniej 50 dywizji, w czym jedną trzecią stanowić muszą dywizje pancerne, oraz taktyczna sił powietrzna, złożona z 5.000 samolotów odrzutowych i 1.000 taktycznych bombowców. Posiadanie takiej siły przez Zachód odstraszyć może Rosjan od uderzenia i w ten sposób uratować pokój.

Wspomnienia von Blüchera. Wspomnienia dyplomatów niemieckich z okresu hitlerowskiego mnożą się jak grzyby po deszczu; każdy z nich stara się oczywiście wykazywać, że nie miał nic wspólnego z reżymem narodowo-socjalistycznym i że krytycznie odnosił się do „Führera". Czyni to także Wipert von Blücher, poseł niemiecki w Helsingforsie w latach 1935 — 1944, w swych ogłoszonych niedawno wspomnieniach pt. „Gesandter zwischen Diktatur und Demokratie" (Wiesbaden, Limes Verlag, cena 15.50 marek).

W porównaniu z pamiętnikami Dirksena czy Weizsäckera książka Blüchera nie przynosi niczego szczególnie interesującego.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

NIEMIEC PREZESEM FEDERACJI ASTRONAUTYCZNEJ

Odbywający się w Londynie drugi międzynarodowy kongres astronautyczny zakończył się d. 8 września posiedzeniem publicznym. Kongres powołał do życia Międzynarodową Federację Astronautyczną, do której należą organizacje astronautyczne dziesięciu krajów z tym, że przewidywane jest niedalekie przystąpienie także Norwegii i Danii.

Prezesem Federacji — rzecz znamienna — wybrany został uczony niemiecki dr Eugen Sänger, który w czasie wojny pracował nad konstrukcją pocisku-bombowca (!), szybującego po orbicie koło górnej granicy atmosfery ziemskiej i zdolnego okrążyć ziemię w ciągu dwóch godzin. Wiceprezydentami zostali: Amerykanin Andrew G. Haley i znowu Niemiec: dr G. Loeser z Frankfurtu. Ustalono, że przyszły kongres odbędzie się za rok w Sztutgarcie.

Z obrad kongresu londyńskiego wynika, że wysiłki organizacji astronautycznych pójdą najpierw w kierunku ulokowania w przestworzach rodzaju „stacji", które czyniłyby pomiary i zasilały pociski międzyplanetarne w niezbędne paliwo, czy inne materiały pędne. „Stacje" te utworzone byłyby ze specjalnego typu pocisków, które po osiągnięciu pewnej wysokości poczęłyby krążyć po orbitach dokoła ziemi. Zaopatrywanie pocisków międzyplanetarnych przez te „stacje" pozwoliłoby uniknąć niesłychanego marnowania materiałów pędnych, nieuniknionego w wypadku, gdyby pociski zaopatrywano w nie na ziemi.

ZAKOŃCZENIE PRZY ŚWIECZKACH

Tegoroczny, piąty z rzędu Festiwal edynburski zakończony został w oryginalny sposób. Ostatnim utworem, granym na krótko przed północą na zakończenie koncertu, który odbywał się w Usher Hall, była „Symfonia pożegnalna" Haydna. Sala była prawie ciemna, a przed każdym z członków orkiestry paliła się świeca. W końcowej części symfonii, w miarę jak poszczególni członkowie orkiestry kończyli swe role, kolejno gasły przed nimi świece. Pod koniec widoczny był już tylko dyrygent, Sir John Barbirolli, oraz dwóch skrzypków, wykonywających finał. Potem nastała chwila ciemności. Gdy znów zapalono światła, rozległy się dźwięki hymnu narodowego. Przedtem jednak jeszcze członkowie orkiestry zdołali po ciemku opuścić estradę.

KATEDRA W COVENTRY

Jedną z najdotkliwszych strat w dziedzinie architektury, jakie poniosła Anglia na skutek bombardowania niemieckiego, było zniszczenie pięknej, średniowiecznej katedry w Coventry. Katedra ta, ongiś katolicka, ma być obecnie odbudowana. Rozpisano konkurs na projekt odbudowy, napłynęło ogółem 216 takich projektów. Nowa budowla, jak się zdaje, bardzo niewiele będzie miała wspólnego z dawną; uczestnikom konkursu zostawiono swobodę w wyborze stylu i materiału budowlanego. Zastrzeżono tylko, że każdy z projektów ma wyznaczyć miejsce dla trzech fragmentów dawnej katedry, które zrekonstruowane zostały ze szczątków znalezionych w gruzach (tzw. „Charred Cross", „Cross of Nails" oraz „Altar of Rubble").

FILMY EKSPERYMENTALNE

Od pięciu lat Festival edynburski jest także okazją do pokazu filmów „realistycznych" i „eksperymentalnych". Pokaz ten w rb. obejmował 250 filmów z około 25 krajów. Pierwszy raz reprezentowana była Japonia z filmem pt. „Kisen", z muzyką i baletem.

Pewnego rodzaju polityczne „signum temporis" stanowił fakt, że Związek Sowiecki, który w pokazie w roku zeszłym udziału nie brał, tym razem uczestniczył paru filmami biograficznymi (m .in. o Mussorgskim) oraz filmem o Kozakach Kubańskich. Reprezentowane były także, po rocznej przerwie, Węgry i Czechosłowacja; nie było za to Polski.

Przeważały, oczywiście filmy brytyjskie, wśród których znajdował się film trójwymiarowy, znany już z „Telecinema" na wystawie londyńskiej.

„DZIEWCZĘ CYGAŃSKIE"

Królewska opera Covent Garden grała przez kilka tygodni z wielkim powodzeniem operę Irlandczyka Balfe'a pt. „The Bohemian Girl", której pierwsze przedstawienie odbyło się w Londynie w r. 1843, a więc przeszło sto lat temu. Bohaterem opery jest Polak, który brał udział w nieokreślonych bliżej walkach wojsk polskich z armią austriacką w początkach dziewiętnastego stulecia i został wzięty do niewoli. Rolę tę grał Anthony Marlowe. Partnerką jego była Yvonne Prestige, wykonawczyni roli Arliny, córki pułkownika austriackiego, która zakochuje się w Tadeuszu.

Operę, która w 19 wieku grana była we wszystkich stolicach europejskich, opera Covent Garden wznowił w bardzo starannej i efektownej szacie dekoracyjnej. Doskonały był także balet,

D Y S K U S J E

DWUGŁOS O WRZEŚNIU

FELSZTYN — BIELATOWICZ

ODMIENNE OŚWIETLENIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo wysoko cenię opinię Jana Bielatowicza, autora artykułu „Warszawa i Piławce“ (ŻYCIE Nr 35), w sprawach sztuki i literatury, przypuszczam jednak, że nie będzie on miał do mnie żalu, gdy powiem, że w sprawie oceny planów strategicznych znacznie bardziej są dla mnie miarodajni gen. Kopański (artykuł umieszczony w tym samym numerze ŻYCIA) i płk Henryk Piątkowski, który kilka lat temu ogłosił głębokie studium, poświęcone polskim planom wojny. Obaj ci zaś wybitni fachowcy, choć nie szczędzą uwag krytycznych, wyrażają się o polskim planie strategicznym znacznie korzystniej, niż J. Bielatowicz.

Wydaje mi się, że przy ocenie kampanii polskiej 1939 roku nie wolno już dziś pomijać faktu, że szybkość, z jaką niemieckie kolumny pancerne przebijały się przez najsilniejszą nawet obronę, była zaskoczeniem nie tylko dla sztabu polskiego, ale również i dla sztabu francuskiego, choć miał on już 8 miesięcy czasu na przestudiowanie kampanii polskiej, a nawet i dla Rosjan, choć Niemcy dali im dwa lata czasu na uzupełnienie swych przygotowań i choć ich potencjał gospodarczy był wielokrotnie większy od naszego. A jednak w 1941 roku pancerne kolumny niemieckie przeszły poprzez teren głębokości Polski w czasie o połowę krótszym, niż w 1939 roku! Trudno więc winić polskie sfery wojskowe, że swe plany wojny opierały na przesłankach, które tego zupełnie nowego faktu nie brały pod uwagę. Raczej na odwrót porównanie kampanii polskiej, francuskiej i rosyjskiej (w 1941 r.) stanowczo przemawia na korzyść Polski. Zaskoczenie przez nową taktykę zawsze towarzyszyło historii wojen. Wszak jeszcze Epaminondas w ten właśnie sposób rozbił niepokonanych dotąd Spartan, zaskoczeniu zawdzięcza swe sukcesy Napoleon, niemiecka potęga ognia w 1914 roku kompletnie przekreśliła wszelkie plany doskonałego przecież sztabu francuskiego i o włos nie doprowadziła Francuzów do klęski, taktyka wreszcie sowiecka w Korei dwukrotnie przecież postawiła znacznie materialnie i w powietrzu silniejszych Amerykanów na skraju przepaści.

Dlatego też bezstronna ocena kampanii wrześniowej, choć niewątpliwie wykryje wiele błędów i niedomagań, wypadnie na pewno znacznie lepiej, niż namiętne, choć nieudokumentowane oskarżenia J. Bielatowicza.

Nie wolno nadto żadnemu Polakowi zapominać, właśnie dlatego że obcy ze zrozumiałych względów starają się to przemilczeć, że twardy, choć krótkotrwały opór Polski w 1939 roku, tak dalece stępił ostrze niemieckiej machiny napastniczej, że uderzenie na Francję musiały Niemcy odłożyć do maja następnego roku. Niewiele, co prawda, pomogło to Francji, z jej własnej zresztą winy, uratowało natomiast Anglię, dając jej czas na rozbudowę lotnictwa, które decydującą odegrało rolę w Battle of Britain.

W jednym miejscu temperamet pisarski uniósł J. Bielatowicza nieco zbyt daleko. Dziś, po latach istotnie benedyktyńskiej pracy, aby z resztek ocalonych dokumentów zrekonstruować wierny obraz wypadków, po wysoce sumiennym i w najcięższych warunkach materialnych wykonanym opracowaniu wojny 1939 roku metodami najściślej naukowymi, nie wolno zarzucać, iż „usiłuje się po latach konstruować ‚myśli przewodnie‘ “, chyba że ma się na to dowody. Czy J. Bielatowicz mógłby dowody takie przytoczyć?

Twierdzi on nadto, że „po wrześniu nie pozostały nawet żołnierskie zgony dowódców“. Gdy jednak weźmie się do ręki oficjalną listę strat wydaną przez sztab gen. Sikorskiego i przeczyta się, ilu generałów i dowódców dywizyj poległo w 1939 roku, to przekona się, jak dalece zarzut ten jest niesprawiedliwy. Żadna bowiem inna armia nie może się chlubić tak wielkim procentem poległych dowódców. A honor, to zbyt wielka rzecz, by mówić o niej na wiatr.

Mówiąc o marsz. Śmigłym nie można zapominać, że — gdy tylko udało mu się zmylić nadzór niemiecki i uciec z Rumunii — udał się on nie na bezpieczny Zachód, lecz wrócił do Polski, starając się, bezskutecznie co prawda, oddać się do dyspozycji władz Armii Krajowej na najpodrzędniejszym nawet stanowisku. Jakikolwiek jest więc stosunek do jego roli w 1939 roku, sprawiedliwość wymaga, aby pamiętać o tym jego kroku, dobrze niewątpliwie świadczącym o jego charakterze i odwadze. A miłość chrześcijańska nakazuje, aby nie przemilczać cnót nawet tych osób, które się zwalcza.

Niesłusznym jest również zarzut, jakoby ci oficerowie, którzy w latach 1939-1945 okazali „prawdziwe talenty dowódców“, byli przed 1939 rokiem “spychani na podrzędniejsze stanowiska“. Jeżeli bowiem weźmiemy przebieg służby wojskowej każdego z nich, to okaże się, że był on zupełnie typowy dla zdolnych oficerów w czasie pokoju i że każdy z nich szedł po szczeblach dowodzenia względnie szybko, tak szybko, jak warunki pokojowe każdej armii na to pozwalają. Takie jest już bowiem prawo wojny, że jedynie wojna wykrywa, który z dobrze zapowiadających się oficerów ma istotnie ukrytą iskrę Bożą. Nie u nas tylko. Wystarczy porównać karierę wojskową takiego Montgomery‘ego, Eisenhowera, Rommla, czy w poprzedniej wojnie Focha, Hindenburga, aby się o tym przekonać. Fakt zaś, że tylu mieliśmy znakomitych dowódców i sztabowców zarówno w polskich formacjach poza granicami kraju, jak i w Armii Krajowej, świadczy raczej o tym, że — wbrew opinii J. Bielatowicza — rdzeń korpusu oficerskiego był zdrowy i ilość jednostek — charakterem, czy umysłem — słabszych nie była procentowo większa, niż w każdej innej armii.

J. Bielatowicz wydziwia, że „wódz ten... wierzył w cuda, skoro mógł brać poważnie ‚przedmoście rumuńskie‘, a nawet... dowodzenie z Rumunii“. Odnośnie Rumunii należy przypomnieć, że były wyraźne zobowiązania rządu rumuńskiego w tym kierunku, jeśli zaś chodzi o przedmoście, to z ogłoszonego w tym samym numerze ŻYCIA artykułu widać, że w realność jego wierzył również i wybitny oficer francuski, gen. Faury. Czyżby i ten trzeźwy sztabowiec francuski „wierzył w cuda“?

O uprzedzeniu J. Bielatowicza świadczy i fakt, że podpisuje się on pod tezą Gamelin‘a, iż niedotrzymanie z jego strony zobowiązań sojuszniczych w stosunku do Polski było jedynie wynikiem szybkich postępów Niemców w Polsce, podczas gdy generałowie niemieccy, którym fachowości nikt przecież nie odmówi, jewnie wyrażali w Norymberdze swe zdumienie, że Francja, na skutek bezprzykładnej wprost bezczynności we wrześniu 1939 roku, utraciła jedyną szansę wygrania wojny.

Nie mam zamiaru bronić polskiej propagandy przed wojną. Ale proszę mi podać przykład rządu, który by przygotowywał naród do nieuniknionej wojny głośno krzycząc, że położenie jest beznadziejne. Nawet Churchill obiecywał Anglikom „krew, pot i łzy“ dopiero po klęsce, a nie przed nią. Jak dziś wiemy z relacji bliskich współpracowników marsz. Śmigłego, wiedział on doskonale, że pierwsza faza wojny musi przynieść Polsce druzgocącą klęskę, wierzył jednak, że — dzięki sojuszowi z Francją i Anglią — ostateczny wynik wojny da Polsce zwycięstwo. Czy wolno mu jednak było w momencie, gdy po 20 latach udało się nareszcie przekonać Zachód, że własny jego los wymaga poparcia Polski, osłabiać własną pozycję jawnym przyznaniem się do słabości? Przecież i brutalny Churchill po Dunkierce chełpliwie głosił angielski odpowiednik hasła „twierdzą nam będzie każdy próg“, choć doskonale wiedział, że jest to frazes bez pokrycia, skoro do tej obrony brakło nie tylko wojska, ale nawet najprymitywniejszej broni, do dubeltówki włącznie. Czyż jednak mógł uczynić inaczej, wiedząc że powiedzenie prawdy byłoby zachętą dla Hitlera do inwazji całkowicie bezbronnej Anglii?

Kampania 1939 r. zbyt zaważyła na losach Polski, aby nie wymagała gruntownego i starannego studium. Jeśli jednak ma ono przynieść korzyść, to musi być wykonane „sine ira et studio“. Niechęć bowiem, podobnie jak gniew, jest złym doradcą.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Dr Tadeusz Felsztyn

ODPOWIEDŹ

Odpowiadając Pułkownikowi Dr T. Felsztynowi, muszę zacząć od może niezbyt grzecznego pokwitowania: cenię również bardzo wysoko opinie Pułkownika Felsztyna w sprawach literatury i nauki, a zwłaszcza pedagogiki, przypuszczam jednak, że zechce mi on wybaczyć moją niewysoką opinię o jego zdolnościach strategicznych.

Trzy argumenty przeciwstawia Płk. Felsztyn moim sądom: fachowość oceny, istotę oceny i formę oceny.

Gdzież bym śmiał równać się ze strategami? Dlaczego jednak nie miałby każdy obywatel prawa krytyki strategów, szczególnie wówczas, kiedy śmiercią bliskich, ranami, niewolą, więzieniem, męczeństwem, utratą mienia i tułaczką zapłacił za ich błędy? Dlaczego wszyscy i wszystko w państwie podlega kontroli i krytyce, a wojsko miałoby pozostawać poza kontrolą i poza krytyką? Niech mi wybaczy Pan Pułkownik Felsztyn, ale mnie osobiście klęska wrześniowa i odpowiedzialność za nią interesuje w takim samym stopniu, co Panów Generałów i Naczelnych Wodzów. Armia Polska jest tak samo moją sprawą, jak i ich sprawą, tak samo moją własnością, jak i ich własnością. Dlatego nie widzę powodu aby fachowcy wojskowi brali na siebie wyłączność tłumaczenia naszej klęski.

Jeśli na rynku brak jarzyn, każdy obywatel ma prawo uskarżać się na nieporządki w transporcie, jeśli pociągi przychodzą spóźnione, opinia o tym nie należy wyłącznie do ministerstwa kolei, jeśli ulice miejskie są ciemne lub niewybrukowane, niekoniecznie trzeba pytać o przyczynę fachowców. Jeśli brak szkół w państwie albo gdy szkoły te wypuszczają nieuków, jeżeli finanse idą źle, jeżeli prawodawstwo szwankuje — wówczas każdy obywatel ma prawo publicznej krytyki i skargi. Nie potrzeba chyba dodawać, w jakich ustrojach za taką krytykę wędruje się za kraty lub druty.

Krytyce podlega również wojsko, które jest organizacją powołaną przez naród, dla jego wyłącznie celów i przed narodem (więc przed jego organami państwowymi i opinią) jest odpowiedzialne.

Strategia jest dużą umiejętnością, ale jeśli jej wyniki są katastrofalne, trudno dociec, ile było w tym udziału siły wyższej, a ile błędów samej strategii. Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że strategia papierowa i teoretyczna nie zawsze idzie w parze ze strategią polową. Trudno by też dowodzić, że strategia jest tak wielką sztuką, aby strategowie nie byli, szczególnie po smutnych doświadczeniach, usuwalni lub wymienialni. Stawianie natomiast sprawy tak, jak Pułkownik Felsztyn, iż miarodajne wytłumaczenie klęski wrześniowej należy wyłącznie do strategów, którzy są poza krytyką jako fachowcy, jest przejawem kultu wodza, mitu kasty wojskowej i tych wszystkich wykrzywień ludzkiej społeczności, których powinniśmy się strzec jak ognia.

Przechodząc do istoty oceny, pragnę uchylić kapelusza przed opiniami Pułkownika Felsztyna. Nie przekonują mnie one ani trochę, ale rozumiem, iż każdy może je posiadać i wyrażać.

Szukanie tłumaczeń klęski wrześniowej przypomina mi nieco owego słynnego sprawozdawcę z zawodów sportowych, który obsługiwał przed wojną polskie radio. Gdyśmy przegrywali, tłumaczył, że to wina wiatru, błota, gorąca czy niesfornej publiczności — zapominając w poczciwości, że wiatr, błoto i gorąco mają to do siebie, iż się udzielają obu stronom. Gdy ktoś tłumaczy klęskę wrześniową terenem, zapomina, że każdy teren daje takie same atuty manewru obu stronom. Wielu naszych strategów tłumaczy odwrót armii manewrem na „przedmoście rumuńskie“. Nie wadzi to jednak tym samym ludziom powoływać się na odwrót rosyjski jako na zdecydowaną klęskę. Tak też czyni Płk Felsztyn.

Nie wiem dokładnie, jakie było podobieństwo między Hitlerem a Epaminondasem, ale wiem napewno, że armia nasza we wrześniu niezupełnie przypominała Spartan. Żadnej też strategicznej uciechy nie doznaję z powodu faktu, że Francuzów Niemcy pokonali jeszcze łatwiej. Wiem natomiast, że powstańcza Warszawa broniła się wściekłym atakom wyborowych wojsk pancernych i piechocie przez przeszło dwa miesiące — bronią zdobytą na nieprzyjacielu! Można krytykować sens polityczny tej walki, niepodobna jednak odmówić obrońcom cnót żołnierskich a dowódcom talentu wojskowego.

Czy można przytoczyć dowody konstruowania „myśli przewodnich“ operacji wrześniowych ex post? Ależ oczywiście! Szef sztabu Naczelnego Wodza, gen. Wacław Stachiewicz, poddając zdecydowanie słusznej krytyce wykręty Gamelina (w artykule „Offensive pour la Pologne“, „Kultura“ zeszyty 3 - 4 (40 — 41), w gorliwości obrony w s z y s t k i e g o co się działo w Polsce we wrześniu 1939 popada w wyraźne sprzeczności. Oto co pisze gen. Stachiewicz: „Polska (— wedle przedwojennej umowy wojskowej polsko-francuskiej —) prowadzić będzie działania defensywne w ten sposób, by zadać nieprzyjacielowi jak największe straty, nie dopuszczając jednak do rozbicia sił własnych przed rozpoczęciem działań sprzymierzonych i zyskać czas potrzebny dla Francji do rozpoczęcia ogólnej ofensywy na zachodzie. Przejście sił polskich do ofensywy nastąpi, gdy warunki na to pozwolą.“ Wynika z tego niedwuznacznie, że sztab polski nigdy nie przyjmował, jak tego dowodzi Płk. Felsztyn, że „pierwsza faza wojny musi przynieść Polsce druzgocącą klęskę“, przeciwnie liczył się z zadaniem wielkich strat Niemcom i z niedopuszczeniem do „rozbicia sił własnych“. Która to z naszych armii była nierozbita do 16 września 1939? Mimo to gen. Stachiewicz mówi o „manewrze, zdążającym do skupienia sił w Małopolsce Wschodniej“ (str. 153, wiersz 12, op. cit.). Manewr, o ile pamiętam z lekcyj taktyki, jest to zamiar lub działanie świadome, z góry zaplanowane, a nie narzucone ni wynikające z konieczności. Bardzo trudno by nazwać manewrem klęskę lub wycofanie się na jedyne niezajęte terytorium na gwałt i bez planu. Poza tym manewr wykonuje się żywymi siłami, a nie dobrymi chęciami. Jakież to siły mogły spłynąć na „rumuński przyczółek“ po pobiciu i okrążeniu wszystkich dosłownie armij? Zaiste lichy to manewr Naczelnego Wodza, który stracił wszystkie armie i usiłuje się odegrać rozbitkami. Jest to tylko bardzo ładna powiastka.

Gen. Stachiewicz w swej relacji na temat planów wojny Sztabu Głównego w I tomie „Kampanii wrześniowej“ (Komisja Historyczna PSZ) najwyraźniej mówi o linii Wisły jako o ostatecznej granicy odwrotu. Gen. inspektor „liczył — pisze gen. Stachiewicz, str. 281 — że potrafimy utrzymać się w rejonie Wisły do czasu, gdy ofensywa na zachodzie doprowadzi do definitywnego odciążenia naszego frontu.“ Mimo to koncepcja „przedmościa rumuńskiego“, jak twierdzi gen. Stachiewicz, „istniała w umyśle generalnego inspektora od początku prac nad planem zachodnim“. Nie mam prawa nie wierzyć, szczerze jednak wyznam, że niedowierzam. Niczego bowiem na „przedmościu“ do wojny nie przygotowano toteż można koncepcję tę uważać za „myśl przewodnią“ ex post, powstałą w najlepszym razie po 10 września 1939. Powoływanie na świadka realności „przedmościa“ francuskiego gen. Faury jest chyba żartem. Nawet gen. Stachiewicz uważa jego opinie za należące do kategorii „pour ne pas décourager nos alliées“.

Argumentuje Płk Felsztyn: „żadnemu Polakowi nie wolno zapominać“... Wydaje mi się, że mamy prawo do wypowiadania szczerych sądów bez oglądania się ustawicznie na obcych. Natomiast za niegodne naszego honoru uważam uporczywe mierzenie wszystkiego co nasze, a nawet naszej straszliwej klęski, cudzoziemską, francuską miarą.

Churchillem usiłował Płk Felsztyn udowodnić, że tylko przez okłamywanie siebie można wzmocnić ducha wojskowego. Cóż za niewczesny pomysł! Przecież to właśnie Churchill jest takiego taniego okłamywania narodu zaprzeczeniem. Nigdy ów mąż stanu i świetny żołnierz nie wygłaszał frazesów o „guzikach od koszuli“, a właśnie obiecywał „pot, krew i łzy“. Aż do znudzenia wpajał w swój naród pogląd, że W. Brytania jest słaba i stoi nad brzegiem przepaści.

Wreszcie forma oceny. „Gniew — powiada Płk Felsztyn — jest złym doradcą“. Wydaje mi się, że nienadarmo Pan Bóg człowieka obdarzył odruchem gniewu. Gniew jest czasem usprawiedliwiony. Sądzę, iż mało jest w życiu Polski i w jej dziejach spraw, które by bardziej usprawiedliwiały gniew Polaków, jak klęska wrześniowa.

Jan Bielatowicz

P.s. Spotkałem się ze zdaniem, że artykuł „Warszawa i Piławce“ jest negatywną oceną I tomu „Kampanii wrześniowej“. Otóż ta znakomita praca zasługuje na najwyższe uznanie i mimo usterek jest i pozostanie fundamentalnym wstępem dla historiografii o wrześniu 1939. Artykuł „Warszawa i Piławce“ czerpie z niej informacje, nie jest zaś wcale oceną dzieła.

OSOBISTE

W sobotę 11 sierpnia b.r. w kaplicy Sióstr Wniebowzięcia na Kensington w Londynie ks. T. Kirschke, asystent kościelny P.K.S.U. „Veritas“, pobłogosławił związek małżeński p. Andrzeja Karola Jonschera z p. Elżbietą Teresą Branson, oraz odprawił Mszę św. na intencję Nowożeńców.

Nowozaślubieni są znanymi działaczami P.K.S.U. „Veritas“ i wchodzą w skład Rady Centralnej polskiej gałęzi „Pax Romana“. Toteż uroczystość ich zaślubin skupiła wielu ich Przyjaciół. Państwu Andrzejostwu Jonscherom towarzyszą na ich nowej, wspólnej drodze życia liczne i szczere życzenia wielu łask Bożych i szczęścia.

Do nich łączymy i my nasze najserdeczniejsze życzenia.

REDAKCJA „ŻYCIA“

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Centre.** Adres redakcji i administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji. Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17;** z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh.** Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d“ (//), wystawionymi na **Veritas Foundation Publication Centre.** CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1; w t e k ś c i e 50% drożej, na stronie t y t u ł o w e j 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** ARGENTYNA: cena 1 egz. — **2 pesos,** kwartalnie **26 pesos,** półroczn. 52 pesos. **Przedstawicielstwo:** „Libreria Polaca“. Av. **Leandro N. Alem 641** — Buenos Aires. **BELGIA:** miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 15, rue Godfroid de Bouillon, Bruxelles 3 — **FRANCJA:** miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs., Przedstawicielstwo „Libella“ Librairie. 12, rue St. Louis en l'Ile, **Paris IV-ème.** — NIEMCY: miesięcznie **2.50 DM.,** **kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo mają:** „Informacja **Prasowa**“, **(23) Quakenbrück, Schiphhorst** 2. i Księgarnia **„Wiedza“, Schwandorf/Bayern.** Bahnhofstrasse 19. — **SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P. K. S. U.** Veritas. **Section Suise, Case Postale 19, Fribourg 2** — **SZWECJA:** miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. **Przedstawiciel:** B. Kurowski, **Anggatan 6c, Lund, Sverige. Sweden.** — **U.S.A.:** — kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol., pocztą lotniczą 5 dol. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) **E. Bagiński, 3690 Helen Avenue** Deroit 7, **Michigan,** 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 13, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734